Nr. 31. Warszawa, dnia 5 Sierpnia (24 Lipca) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

STOSUNKI CELNE.

W ostatnich miesiącach Rosya wprowadziła szereg doniosłych zmian w swej polityce celnej. Przed dwoma miesiącami ogłosiła znane czytelnikom naszym zasady podwójnej taryfy przywozowej, przyjmując za najniższą tę, która obowiązywała dotychczas, a podwyższając zwiększoną o 15, 20, 30%. Następnie zawarła układ z Francyą, zapewniający jej produktom przywileje opłat minimalnych. Obecnie taryfa podwójna została wprowadzona w życie, przyczem maksymalną zastosowano do Niemiec, jako do państwa, które Rosyi nie zapewniło żadnych ulg, dających mu prawo do wzajemnych ustępstw. Według *Birż. Wiedomosti* rząd ruski, ogłaszając w czerwcu zasady taryfy podwójnej i zapowiadając urzeczywistnienie jej, chciał sąsiadom dać czas do zawarcia z nim traktatów, z którego Niemcy nie skorzystały i odwlokły porozumienie się, ażeby nie stracić znacznych dochodów celnych od zboża, przychodzącego ze wschodu w jesieni. Gromem też spadła w Niemczech wiadomość o podwyżce przez Rosyę ceł na ich wytwory, zwłaszcza że spodziewano się odwetu, który jeszcze bardziej podniesie ceny niezbędnych artykułów żywności. Jakoż rada związkowa uchwaliła natychmiast podwyżkę cła od ruskiego zboża, drzewa, koni i trzody chlewnej o 50%—jak nadmieniają gazety petersburskie — rząd ruski nie zakreślił sobie w 30%-ej taryfie maksymalnej najdalszego stopnia podwyżki, lecz w potrzebie posunie ją jeszcze dalej. Korespondent *Warsz. Dniewnika* donosi: „Z najlepszych źródeł poczerpnąłem wiadomości, że jeżeli Niemcy z powodu zastosowania podwójnej taryfy podwyższą swoją wyłącznie dla towarów ruskich, to Rosya bezzwłocznie podniesie taryfę maksymalną dla towarów niemieckich.“ Zanosiłoby się tedy na wielką i długą wojnę celną między dwoma państwami, gdyby jednocześnie nie prowadzono rokowań o zawarcie traktatu handlowego, który prędzej czy później dojdzie do skutku. Hr. Caprivi nie ma powodu do pośpiechu, a ma powód do zwłoki, gdyż — jak słusznie zauważyły *Birż. Wiedomosti* — nie chce on stracić dochodów jesiennych z opłat zbożowych, które po przyjęciu przez sejm reformy wojskowej są mu bardzo potrzebne. Nadto pamiętać należy, że ta reforma przeszła i nowe dla pokrycia jej kosztów źródła podatkowe osiągnięte będą głównie dzięki konserwatystom, stronnictwu złożonemu z rolników, którzy najbardziej opierają się układowi z Rosyą, podrywającemu ich interesy w handlu zbożowym. Kanclerz niemiecki ma więc w tej chwili do wyboru dwie drogi: albo podpisać umowę z Rosyą i narazić sobie konserwatystów, to znaczy postradać niezbędnych pomocników w sprawie wynalezienia środków na pomnożenie armii, albo zadowolić ich do czasu i odsunąć porozumienie się z Rosyą na później. Nie dziwno, że wybrał pierwszą ostateczność, bo ją wybrać musiał.

O ten traktat stara się również Austrya, a ponieważ taryfa maksymalna nie została do niej zastosowana, wywnioskowano przeto, że ona wyzwoliła się z pod zależności od Niemiec i na własną rękę dochodzi do zgody z Rosyą w kwestyach celnych. Domniemanie to wywołało nawet wielką wrzawę w prasie berlińskiej, skutkiem czego urzędowy organ wiedeński musiał zapewnić, że ta emancypacya jest czczym wymysłem. Mimo to zabiegi austryackie trwają dalej a postępują tem łatwiej, że w Wiedniu rząd nie ma na karku reformy wojskowej, nowych dla niej podatków i konserwatystów, z którymi liczyć się musi. „Ten szczegół — piszą *Birż. Wiedomosti* — że podwyższoną taryfą nie dotknięto towarów austryackich, podobno przypisać należy tej okoliczności, że rokowania z Austro-Węgrami w przedmiocie traktatu handlowego pozwalają się spodziewać wkrótce pomyślnego załatwienia kwestyi. Rokowania te odbywają się na gruncie obustronnego przyznania sobie praw narodów najbardziej uprzywilejowanych: Austrya żąda tych ulg, które Rosya przyznała Francyi, Rosya zaś tych, które Austrya przyznała Niemcom.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdaje się, że wojna syamska zakończy się dużą chmurą i grzmotami bez armatnich piorunów i karabinowej ulewy, chociaż lekki deszcz kul spadł na forty Bangkoku. Syamczycy widocznie spostrzegli, że ich Anglia nie weźmie w troskliwą obronę, oświadczyli więc gotowość przyjęcia żądań francuskich (odstąpienia części terytoryum wraz z kosztami wojennymi). Jeżeli zaś mieli jeszcze jakie złudzenia, to ich zupełnie rozczarował lord Roseberry, który wyraził w Izbie gmin nadzieję, że Syam postara się o załatwienie sprawy pokojowo. Syam — a nie Francya, ta „nadzieja“ wskazała, kto ma ustąpić. Podobno w łonie ministeryum angielskiego wre z tej przyczyny ostra niezgoda: jedni chcieliby wystąpienia energicznego, drudzy — środków łagodnych. Sens wszakże zatargu jest tylko ten, że Anglia zlękła się Francyi i unikała rozdrażnienia jej. W poprzednim numerze *Prawdy* zwróciliśmy uwagę, że śmiały ton Rzeczpospolitej i jej świeże tryumfy w polityce zewnętrznej są wynikiem wzmocnionego stanowiska w Europie, co Anglia odczuwa i uwzględnia. Torysi zapewniają, że gdyby oni byli przy sterze państwa, okręty francuskie nie ostrzeliwałyby stolicy syamskiej; ale jest to zwykła przechwałka stronnictw, skazanych na przymusowy odpoczynek po straconej władzy. Ostateczną instancyą w sprawach kolonialnych jest dla rządu angielskiego han-

del: co on powie o wszelkim sporze politycznym, to obowiązuje zarówno torysów, jak whigów. Widocznie zaś handel orzekł, że lepiej w Syamie nie rozpalać wojny, bo jej ogień osmaliłby skrzydła Merkurego. Gdy kłótnia się skończy i wrzawa ucichnie, można po cichu intrygować, jednać sobie zwolenników, wogóle puścić funt szterling w agitacyę, a tymczasem lepiej udawać obojętność i tylko pod sąsiadką kopać dołki.

Według ostatnich doniesień, król Behanzin ma zamiar zrzec się tronu i prawdopodobnie zaprasza do układów... frank. Jeżeli ten żółty sprzymierzeniec w dostatecznej sumie zaofiaruje mu swe usługi, czarny władca odstąpi Dahomej, przyjedzie do Paryża, zacznie uczęszczać do *féeries*, a gdy wszystko wyda, prefektura wyznaczy mu dożywotnią emeryturę, za którą będzie mógł sobie kupić zużyty cylinder, żółtą jedwabną kamizelkę i czerwone spodnie.

Szczegółowe rozprawy nad bilem irlandzkim zostały ukończone i przypieczętowane niebywałym w poważnej Izbie skandalem. Mianowicie gdy Chamberlain zaczął gwałtownie napadać na Gladstone'a, rzucono mu z kilku stron obelgę „zdrajca.“ Powstał krzyk a następnie taka rzetelna bijatyka, że musiano zawiesić posiedzenie.

Czytelnicy, zajmujący się uważniej polityką, pamiętają zeszłoroczną wyprawę rumunów węgierskich do Wiednia, których deputacyi cesarz nie przyjął, a rozgniewani madziarowie za tę zuchwalość zemścili się na jej uczestnikach srogiem prześladowaniem. Rumunowie poddali kark pod jarzmo, ale z nienawiścią w duszy rozpoczęli agitacyę przeciwko swym okrutnym panom. Ruch ten rozszerzył się wkrótce nietylko śród poddanych Austryi, ale przeniknął również do królestwa rumuńskiego, gdzie rozpalił namiętności. Niedawno w Hermanstadzie siedmiogrodzkim odbyła się wielka narada rumunów, na której rozumie się zaprzysiężono walkę z madziarami.

Rewolucya w republikach południowo-amerykańskich jest zjawiskiem tak zwykłem, że właściwie należałoby donosić, że ona gdzieś nie wybuchła. W tej chwili zawichrzona jest znowu Argentyna.

W Stanach Zjednoczonych zaczęły się walić banki i rozmaite przedsiębiorstwa spekulacyjne. Ponieważ tam *interes* jest najbardziej zuchwały, więc też bankructwa przechodzą jak orkan.

BADANIA NAUKOWE.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom IV, zeszyt II. Warszawa 1893.

Na szczególne wyróżnienie w tym zeszycie zasługuje obszerna rozprawa p. Gabryela Korbuta p. t. „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym.“ Praca ta, oprócz paru próbek niedokładnych, stanowi jedyny sumienny w tym przedmiocie dorobek. Autor zbierał materyał przez lat kilka, korzystając ze wskazówek p. p. Baudouina de Courtenay i dr. Karłowicza.

Ze wszystkich języków, z wyjątkiem czeskiego, najbardziej wpływał na mowę polską — niemiecki. Z ogólnej np. liczby 5,700 wyrazów obcych w słowniku Lindego przypada niemieckich 1,500, tj. prawie 27% (26,5) czyli 3% na ogół.

Zasób wyrazów obcych w danym języku dowodzi cywilizacyi narodu, który mając stosunki z ludami sąsiedniemi, przechowującymi tradycyę kultury grecko-łacińskiej, wytworzył idee ogólno-ludzkie. Jest to zaszczyt a nie srom, nie było bowiem innej cywilizacyi okrom grecko-łacińskiej, którąśmy przejęli za pośrednictwem niemców.

Autor porządkuje wyrazy w pewne grupy, których wymienia 20: 1) Pierwsza z nich obejmuje dotyczące urządzeń, zwyczajów i pojęć średniowiecznych (szlachta = staroniem. slahta, rycerz, turniej, hełm, puklerz, pręgierz, stos, król itp.); 2) nazwy urządzeń miejskich (wójt, średn. niem. vogct, voit, wilkierz, ortyl, sołtys, gmina itp.); 3) handlowe (handel, kram, funt, łaszt, jarmark, kiermasz, cło, litkup); 4) minerałów i ciał chemicznych (cyna, cynk, ałun); 5) rzemieślnicze (cech, kunszt, majster, płatnerz, kuśnierz, snycerz, farbierz); 6) architektoniczne (budować, dach, ganek, krużganek); 7) hutnicze (huta, hamernia itp.); 8) górnicze (buchmistrz, szyb, sztolnia, hawierz, sztygar); 9) ogrodownicze (flanca, flancować, szos, ablegor); 10) młynarskie i piekarskie (stochmal, pytel, kręgiel, strucel, placek); 11) kucharskie (kucharz, fajerka, rynka); 12) wojskowe (pancerz, puklerz); 13) żeglarskie (szyper, flis, rudel); 14) jazdy konnej (mastelarz, fornal, foryś, furman); 15) towarów przywozowych, wyrobów zbytkowych (bawełna, szylkret, jedwab, perła, puzdra, kufa, dzieża, konew); 16) narzędzi, maszyn i ich części (winda, prasa, klapa, hamulec, łańcuch); 17) przyrządów mierniczych, rysunkowych, malarskich i rytowniczych (cyrkiel, rajscajg, winkiel, kopersztych, stalugi); 18) instrumentów muzycznych (harfa, lutnia, waltornia, puzon, flet); 19) gier (warcaby, kręgle, lancknecht). Oprócz tego mamy z niemieckiego dużo wyrazów abstrakcyjnych (ratować, rachować, dziękować, trafiać, smakować itp.) tudzież imion (Jadwiga, Kunegunda, Zygmunt i t. p.). W dziejach tych pożyczek, autor odróżnia trzy okresy: 1) z języka gockiego (szkło = stikls, chorągiew = hruaga, wielbłąd = ulbandus) i staroniem. (ksiądz = kuning, pieniądz = pfenning, szkoda = scado, myto = muta); 2) ze średniowieczn. niem. i 3) nowoniemieckiego.

Ważność tego odróżniania okresów stanowi niezmierny czynnik w badaniu zmian fonetycznych: Np. wyprowadzając *szlachtę* z nowoniemieck. geschlecht, musielibyśmy przypuścić wyrzutnię przystawki *ge* i dodatnię końcówki *a*; gdy wszakże tak nie jest, bo wyraz ten pochodzi ze staroniem. *slahta*. Podobnież pończocha ze średniowieczn. niem. buntschuoch, a nie z nowoniem. buntschuh, marszałek ze średn. niem. marescalc, a nie z nowoniem. marschall itp. Inne wyrazy pochodzą z dyalektów niem. np. szperać z dolnoniem. sporen, szukać z dolnom. söken, a nie z nowoniem. suchen itp. Są wyrazy, które przeszły do polskiego w przeróbce czeskiej np. st. niem. babez, czesk. papež, polsk. papież, st. niem. probost, czesk. probošt — proboszcz itp. Mamy także wyrazy w przeróbce żydowskiej, np. belfer, z niemieckiego behelfer, fanaberye z żydowskiego fajne barjes (pr. Baudouin de Courtenay wywodzi z niemieckiego feine Bürger) itp. Mnóstwo znowu wyrazów romańskich przeszło do nas w przeróbce niemieckiej: mennica — minca, stniem. munizza, średn. niem. münze; spiż i spiża z łac. spensa, średniowieczn. łac. spêsa, st. niem. spisa, średn. niem. spise; czynsz z łac. census, st. niem. zins; talerz z włosk. tagliere, średn. niem. teller itp. Tutaj autor traktuje o zmianach dźwiękowych. Cenna ta praca zakończona odpowiednim słowniczkiem.

P. pr. Brückner odkrył w bibliotece petersburskiej postylę, tj. wykład ewangelij i listów apostolskich z XV w. po łacinie z głosami polskiemi (Kazania Husyty polskiego). Autor, widocznie ksiądz świecki, który kształcąc się w Pradze, przesiąkł hu-

---

10)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Zbliża się ojciec. Izba porusza się, zapada po jednej stronie... Gunnar nie ma już sił, zaczyna płakać.

— A teraz opowiesz mi, co się stało z tą sakiewką.

Ojciec staje przy stole, wprost naprzeciw niego.

— No? — no?!

— Zgubiłem! — krzyknął Gunnar wśród szalonego płaczu.

— Zgubiłeś, a jakże to było?

Znowu trzeba było coś zmyśleć.

— Gdzież ją zgubiłeś?

— Na stogu.

— Jakim sposobem sakiewka dostała się na stóg, skoro leżała w skrzyni?

Gunnar namyśla się i płacze, płacze i namyśla się.

— Chciałem przyjrzeć się moim szelągom! m-u-uh, u-uh...

— Więc wyjąłeś sakiewkę ze skrzyni?

— M-tak, u-u...

— I zgubiłeś ją?

— M-uh, tak, uh-uh!..

— A potem chodziłeś sobie, jak gdyby nic, i milczałeś, i kryłeś to przed nami. No, nauczę ja ciebie rozumu, iżby nie działo mi się tak, jako arcykapłanowi Elemu!

I Gunnar dostał tak straszne cięgi, jak nigdy dotąd. Wił się, jak gdyby chciał wyleźć ze skóry, a krzyczał ściśniętem gardłem tak, że w niem już dźwięku ludzkiego nie stało. Anna starała się być obojętną, zasłużył na rózgi... Ale jednak tego już było zanadto, zabije chłopca.

— Enoch, na litość Boga, Enoch!

Lecz w tej wilczej dziurze sama nawet własnego głosu nie słyszała.

— Ja ciebie nauczę, ja cię nauczę! — wołał Enoch, bijąc ze wszystkich sił — ja ciebie nauczę gubić pieniądze!

Wreszcie chłopak wydostał się z kleszczy, na czworakach pełzając po podłodze, drżąc, dygocząc z bólu, szlochając, prawie bez głosu, nieprzytomny. Anna zatrzęsła się.

— Jakże można tak rozum tracić!..

— Lepiej że ja go karzę — odparł Enoch — niżby miał wpaść w ręce żywego Boga!

Gunnar wciągnął swoje skórzane spodeńki, przez korytarz, kuchnię i tylne drzwi wydostał się na dwór i skrył się w stogu. Walczył ze łzami, bał się, żeby płaczu nie słyszano, nie czuł się jednak i tu bezpiecznym; pobiegł więc do obory, schował się w najciemniejszym kąciku i tu pozwolił łzom płynąć swobodnie.

Carolus wracał przez ugór, trzymając ręce w kieszeniach, gwiżdżąc i o niczem nie myśląc; w pobliżu stodoły usłyszał w poświście wiatru dziwne jakieś wycie. Cóż to takiego? Stanął i słuchał; byleżby to człowiek? Słuchał i szukał, doszedł wreszcie do obory; tu znalazł Gunnara.

I dowiedział się o wszystkiem.

Wtedy lekkie jego serce cygańskie doznało takiego wzruszenia, że natychmiast pobiegł po sakiewkę i oddał ją Gunnarowi.

— Biedny ty, z mojej winy tak się na-

sytyzmem, co widnieje w zdaniu, że nie należy słuchać mszy, odprawianej przez księdza nierządnego, tudzież w odezwie do rajców miasta, aby karali takich występnych kapłanów. Samogłoski nosowe w tym pomniku wyrażono przez *o* z dwiema linijkami poziomemi na obu kończynach litery, tj. dolnej i górnej, rzadziej przez *ą*, *ę*. Kilka razy autor przez pomyłkę napisał *o* zamiast litery oznaczającej dźwięk nosowy. Zaimek zwrotny w postaci: *sze*, *szye*. Niekiedy samogłoski przedłużone (n*aa*dzeya n*aa*sza). Czasem *r* zam. *rz* (strechi). Godnem uwagi *ir* zam. późniejszego *ier* (cz*y*rpeli, pocżw*y*rdzenye); *o* zam. *a* (szono). Z form gramatycznych: ludz*e*m, ludz*y*ch, pasznoctmi (paznogćmi); genit. singl. slup*a*, lud*a*; instrument. singl. zbos*i*m, nad ve*li*m luda; genit. plur. *slez* (łez); comparat. adjectiv. rączszy, rychlszy. Formy czasownikowe: klama (kłamie), drapayą (drapią) i t. p.

P. Rafał Lubicz, znany gwaroznawca, przywodzi kilka starych pieśni, odkrytych w pewnej bibliotece klasztornej. Jeden z tych rękopisów z XV w. zawiera głosy polskie. Jest tam ciekawy i rzadki wyraz obłój (żarłok). W pieśni „O zwiastowaniu“ dźwięk nosowy wyrażony literą zbliżoną do greckiej alfy. Z form gram. vocativus singul. gospodze. Infinitiv. na ci: śpiewaci, posłuchaci. Imperat. ukróci, zbawi. Aoryst: odpowijdze. Dotąd powszechnie powtarzano za A. W. Maciejowskim i L. Gołębiowskim, że pieśń ta jest utworem Andrzeja ze Słupi i Szłopuchowskiego. Dopiero z badań dr. Mikołaja Bobowskiego okazało się, że pieśni te mają różnych autorów, a Andrzej ze Słupi jest tylko przepisywaczem. Z innycg zabytków XV w. przytacza p. L. „Salve regina,“ „Ułamek pieśni o wszystkich śś.“ „Wstęp do spowiedzi powszechnej“ i „Spis miejscowości w powiecie rypińskim z r. 1437.“

Dla specyalisty w dziedzinie litewszczyzny ciekawym jest „Drobny przyczynek do bibliografii litewskiej“ podany przez p. Jana Bystronia.

P. Erasm Majewski zebrał rozmaite nazwy ludowe kartofla.

P. Lucyan Malinowski zauważył, że górale na Bieskidach używają słowa pokárpać w znaczeniu: zszywać, naprawiać, reperować. W związku z tem jest nazwa obuwia góralskiego: kyrpiec, kyrpce. Wyraz *obces*, *obcesem*, *obcesowy*, *obcesowo* pochodzi z łac. obsessus = obłąkany, przetworzył się na zasadzie analogii do wyrazu *obcas* (absatz).

Zeszyt zakończony jest rozbiorami i sprawozdaniami pióra p. Jana Bystronia, Łosia Kryńskiego i innych. Godną zaznaczenia jest staranna bibliografia lingwistyczna, prowadzona przez p. Kryńskiego. Spodziewamy się, że zczasem utworzy się z tego piękna całość, uzupełniona wiadomościami o recenzyach, sprawozdaniach i wzmiankach bibliograficznych, wielce dla specyalisty ważnych.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Dante Alighieri. Bartoli, Storia della letteratura italiana, t. V. (Dokończenie).

Jeżeli „Boska komedya“ nie pozwala nam często rozstrzygnąć pytania, czy Beatrix nie jest istotnie tylko symbolem Teologii lub Objawienia, to dlatego, iż Dante posiadał w wysokim stopniu rozwiniętą manię mistyczną, która w danym razie była zamaskowana przez tę okoliczność, że poeta był człowiekiem wierzącym. Ale ten ostatni wzgląd ginie w innym poecie, D. G. Rossettim, który pomimo przekonań filozoficznych miał też manię nader rozwiniętą i zastosował ją zupełnie z takim samym skutkiem do swej kochanej po jej śmierci. Na tym mistycyzmie bez wiary można dopiero zrozumieć istotne znaczenie symbolów Dantego. „Dom życia“ Rossettiego czyni bardzo często wrażenie domu waryatów.

A zresztą czyż Napoleon, marzący, gdy był lejtenantem, o koronie, lub — że weźmiemy przykład bliższy — Lassalle, obiecujący Helenie Doeninges, iż będzie z czasem prezydentem rzeczpospolitej niemieckiej, nie czynią wrażenia maniaków, waryatów? W każdym przytułku dla obłąkanych można zawsze odnaleźć kilku Ludwików XIV lub Filipów II. Waryat, którego fala wypadków i przypadków wynosi ku władzy, staje się człowiekiem genialnym. Ale mechanizm psychologiczny jest zupełnie ten sam: mania, „idée fixe.“ Człowiek przytomny i zdrów nie podobnego nigdy nie pomyśli. Toż samo dzieje się w sztuce. Tajemnicza umarła, którą Dante przez całe życie opłakiwał, była wciąż przedmiotem jego kultów mistycznych i utożsamiała się po kolei z ideałami, które go zaprzątały w filozofii, teologii i polityce. Między znaczeniem realnem i symbolicznem Beatryczy niema tych różnic, które zdrowy rozsądek chce w nie wnosić. W umyśle poety łączyły się one w jedną organiczną całość, tak że Dante mógł je traktować jednocześnie i jako osobę żywą i jako symbol. Dla tego umysłu halucynata i wizyonera to, nad czem krytyka obecnie łamie sobie napróżno głowę, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć, było rzeczą najnaturalniejszą.

Ale wielka miłość mistyczna Dantego nie wyczerpuje bynajmniej jego historyi uczuciowej. Inne kobiety występują w jego dziele i przyjmowały niewątpliwie udział w jego życiu. Jest tam i „donna pietosa“ o obliczu bladem i melancholicznem i „donna pietra,“ zimna, marmurowa Pargoletta i Gentucca i inne. Niektórzy przypuszczają, iż Dante po śmierci Beatryczy rzucił się w „rozpustę nieokiełznaną,“ a nabożna krytyka czyni mu wyrzuty, przywołując wszystkie powyższe imiona, jako świadectwo „występnej lekkości męża i ojca rodziny.“ Naiwność przypuszcza zwykle, iż „mąż“ i „ojciec rodziny“ przestaje być człowiekiem i pod czarodziejskim wpływem tych tytułów wynosi się odrazu ponad prawo natury. Dante był człowiekiem niezmiernie zmysłowym, a zresztą był poetą, inaczej mówiąc, wyobraźnia jego wymagała coraz nowych wrażeń i nowego pokarmu, chociażby za cenę rozdarcia własnego serca i cudzych. Nieraz poeci wychodzą z tej walki zwycięzko, „dobrymi mężami i dobrymi ojcami,“ ale po największej części wyobraźnia ich wówczas stygnie i są zmuszeni złożyć pióro. Ileż to talentów w ten sposób zwichnęło się i zginęło! Nie wyrzekajmy więc na grzechy Dantego: kto wie, być może im zawdzięczamy „Vita Nuova“ i „Komedyę boską“? Są tacy, którzy chcieliby mieć Heinego cnotliwym mężem! Nie sposób przeniknąć w tajemnicę „związków występnych“ Dantego, ale są one niewątpliwe: wyrzuty, które poeta kładzie w usta Beatryczy, są zupełnie jasne—jest to wyznanie (XXX, 115—135). Nie był wzorem cnoty małżeńskiej — innych szczegółów o jego życiu rodzinnem także brak. Ożenił się po śmierci „Beatryczy,“ z rozpaczy, stosunki z żoną ziębły z roku na rok. Jej brat, Forese, miał być towarzyszem rozpusty Dantego. Ale wszystko to są przypuszczenia, na niczem nieoparte. Miał dzieci, których

---

cierpiałeś! Ach, że też mnie w domu nie było!

Pogłaskał Gunnara po twarzy, usiłował go pocieszyć.

— Już, już, Gunnarku, nie płacz, nie płacz!.. Dostaniesz śliczną czapkę, zobaczysz, pomówię z moją matką... A jeżeli ona nie będzie ci jej mogła dostarczyć, to dostaniesz czapkę ode mnie, jak tylko dorosnę; wiesz przecież, już niedługo. Ale, że tak mi się okazałeś wiernym, żeś mnie w to wszystko nie wmieszał! Anielski z ciebie chłopak. No, chodź ze mną, pójdziemy do domu, niczego się nie bój, skoro ja jestem z tobą; póki tu będę, nigdy już tak się z tobą nie obejdzie!

Gunnar powoli zaczął przychodzić do siebie.

A nie mu nie mów, że masz znowu sakiewkę; za twoje pieniądze będziesz sobie mógł kupić, co zechcesz. Czy nie mam racyi?

— T-tak! — zaszlochał Gunnar i uśmiechnął się wśród kurczowego płaczu.

Teraz zapomniał, że Carolus jest cyganem.

Carolus był najlepszym chłopcem na świecie.

XIV.

Jasna, świeża niedziela w lutym. Lekki przymrozek, lekkie powietrze, zamglone słońce, trochę chmurne niebo. Enoch stoi i czyta Biblię. Już nie tak wyraźnym jest błogi uśmiech na jego twarzy. Raczej jakaś szarość i znużenie ją oblekły.

Letnie, ciężkie ciepło torfu napełnia izbę. Podłoga posypana jest świeżym piaskiem. W fotelu, przy kołysce, siedzi Anna — drzemie trochę, za nią ukryły się dziewczątka. Po obu stronach zielonego stołu, tuż pod okiem Enocha, usadowieni są Gunnar i Carolus; wydaje się, że słuchają czytania.

Na ścianie obok drzwi wisi zegar. Idzie wolno, ospale. Carolus liczy: raz, dwa, trzy, cztery... trzeba przecież coś wynaleźć, żeby nie zasnąć.

Gunnar marzy o Arabii. Tam wybuduje sobie pałac. Będzie taki a taki, a pokojów będzie miał tyle a tyle; tu a tu zamieszka Carolus, a tu on sam; nadto zabierze dzieci Pera, tego z Północy, żeby dość było osób do walki z Treboniuszem.

Może ożeni się z Oliną? Nie, fe! Ale to, co opowiada Carolus, musi być zabawne; możeby spróbować? Byleby nikt o tem nie wiedział, nawet Carolus...

Ten Carolus wie wszystko. Kto mu to może mówić? Gdzie też to wszystko widział? Zapyta go dziś wieczorem.

Enoch modlił się i modlił, atoli był jak gdyby martwym, nie cieszyło go słowo boże. Miał dziś widać jeden z ciemnych swoich dni; słońce skryło się po za chmury, cienie zaległy jego serce.

Ostatnimi czasy nie tak już ustawicznie, jak dawniej, znajdował się na górze Tabor. Zdawało mu się nieraz, że dyabeł zwodził go swojemi sztuczkami, a troska o jutro ogarniała go zbyt często. Wiedział jednak, że tylko takiej doli, złożonej z upadku, wzniesienia i wielu niepokojów spodziewać się może chrześcianin na tym padole. I dlatego powinien się był weselić. Weselić, że walczy za sprawę słuszną, że do doświadczania różnych pokus za godnego został uznany. To bowiem dawało mu świadomość, że czeka go korona sprawiedliwych, zbawienie i ratunek w dniu sądu ostatecznego.

O czem też ten Gunnar tak myśli: siedzi i patrzy przed siebie bezmyślnem, nieruchomem spojrzeniem. Już chciał go Enoch zapytać, gdy w sieni dały się słyszeć kroki.

Gunnar i Carolus mrugnęli na siebie. Dzięki Bogu, dzięki Bogu...

liczba, pod piórem kronikarzy, z każdym wiekiem wzrasta. Z początku liczono ich dwoje, następnie — siedmioro. W rzeczywistości miał ich czworo — zdaniem Bartolego. Śladów po sobie w żadnej dziedzinie nie zostawiły. Jeszcze mniej wiadomości mamy o życiu publicznem Dantego. W r. 1291 był członkiem Rady Stu, potem miał być posłem Rzeczpospolitej w kilkunastu ważnych sprawach. Ambasady te należą wszakże tylko do liczby legend, gdyż jedyna wzmianka o funkcyach społecznych Dantego w kronikach owego czasu naznacza mu rolę daleko skromniejszą: polecono mu rozszerzyć i oczyścić jedną z ulic Florencyi. To tylko nie podlega wątpliwości, iż należał z początku do gwelfów. Stronnictwo to dzieliło się na dwie grupy, białych i czarnych. Pierwsi byli u władzy, a jednym z wybitnych przedstawicieli ich był Dante. Gdy wszakże czarni przy pomocy Bonifacego VIII pochwycili władzę Rzeczpospolitej, biali, a wraz z nimi i Dante, zaczęli się przechylać ku gibellinom. Pierwszą rzeczą czarnych było wygnanie Dantego i trzech jego towarzyszów. Wyrok ogłaszał ich winnymi licznych oszustw przy sprawowaniu urzędów, sprzedajności, intryg wyborczych itd. Skazano ich na 5,000 liwrów kary, konfiskatę dóbr i wygnanie. Imiona ich, jako fałszerzy i oszustów, wpisane zostały do statutów ludu z wyłączeniem raz na zawsze ze sprawowania urzędów publicznych. O ile wyrok ten był tylko zemstą przeciwników politycznych i o ile zawierał zarzuty słuszne — trudno orzec. Dla ludzi będących u władzy granice dozwolonego zlewają się zupełnie z możliwem: gdyby przyjaciele Dantego byli się utrzymali u steru, skierowaliby też samą broń i też same zarzuty przeciw swym wrogom. Jest więc rzeczą zupełnie próżną bronić lub potępiać Dantego.

Od czasu wygnania, które nastąpiło w r. 1300, biografia poety staje się jeszcze ciemniejszą. Tułał się po świecie bez wytchnienia, dotarł prawdopodobnie do Paryża, a być może — chociaż to w niej wiarogodne — i do Oksfordu. Zatarg z ojczyzną napełnił jego serce goryczą, która go jeszcze bardziej zapędziła w odosobnienie i nienawiść. I on zapłacił haracz, który każda jednostka po wszystkie czasy płaci tłumowi. Być może, iż te prześladowania są koniecznym warunkiem rozwoju samowiedzy i wygórowanego poczucia „ja,“ które jest cechą waryatów i geniuszów. Jakkolwiekbądź ten poeta katolicyzmu nie był poetą pokory i skruchy: przywoływał na kochanych swych współrodaków wszystkie plagi, ognie, dżumy i cesarza niemieckiego. Nie wiadomo wszakże, o ile czynny udział przyjmował w historyi gibelinizmu swego czasu i w wyprawie Henryka VII dla podboju Włoch. W pismach swych mówił o niej z entuzyazmem i to czyniło niemożliwym powrót jego do kraju. Dopiero w r. 1317 ofiarowano mu amnestyę, ale na poniżających warunkach przyjęcia udziału w procesyi ułaskawionych rzezimieszków, wyrażających swą skruchę ze świecą w ręku i popiołem na głowie. Dante odpowiedział listem otwartym do przyjaciela: „Nie jest to sposób powrotu do Florencyi, ale jeżeli znajdziesz inny, któryby nie ubliżał honorowi i reputacyi Dantego, przyjmę go z pośpiechem. Jeżeli nie mogę z godnością powrócić do Florencyi, nie powrócę do niej nigdy. Albożnie mogę zewsząd spoglądać na słońce i na gwiazdy?“ Ostatnie lata życia spędził u księcia Werony i u przyjaciela swego G. di Palenta w Rawennie. W ten sposób zamiast kapłana etruskiego i nieruchomej później figury otrzymujemy postać nader żywą i ludzką, szaleńca o mózgu niezrównoważonym, uczuciowości chorobliwej, o potężnych gniewach i nienawiściach, człowieka, który często się mylił i wciąż się unosił. Kochał Petrarkę, ale składał zarazem obfite ofiary na ołtarzach Wenery ulicznej, kochał Włochy, ale przechodził z obozu do obozu pod wpływem uraz osobistych i zwykłej prywaty. Jakże ta figura jest różną od tej, którą chociażby p. Klaczko stworzył!

Oschłość, okrutność, ironia były mu bardziej znane, niż litość lub czułość. Jego marzenia gibelina o monarchii i zjednoczeniu Włoch były skutkiem osobistej urazy, również jak i nienawiść do papiestwa. Wprawdzie prywata ludzi tej miary jest dostateczną przyczyną dla wywołania zmian społecznych, ale, bądź co bądź, Dante nie był poprzednikiem Lutra. Znajdował się pod tyranią nie przekonania, lecz urazy, a także bujnej fantazyi. Z przekonań był katolikiem i papistą.

L. W.

NASI PSEUDOKRYTYCY.

W ciekawym ze wszech miar i doskonale stosunki nasze przedstawiającym artykule p. t. „Zbawcy literatury,“ p. Cezary Jellenta zaakcentował zgubny wpływ, jaki wywierają na literaturę naszą krytycy, tolerując rzeczy banalne, zamulając piśmiennictwo, obniżające stopień umysłowy społeczeństwa.

Czytającemu pracę tę mimowoli przychodzi na myśl pytanie: kto właściwie winien temu, iż owe rzeczy banalne, szablonowe, przeciętne, doprowadzające do zera poczucie smaku estetycznego, zacierające barwę poglądów i przekonań, pogrążające całokształt myśli społecznej w jednolitym szarym kolorycie, na tle którego nikną kontury wszystkiego, co jaskrawsze, coraz liczniej zamulają piśmiennictwo nasze? — Kto winien: krytycy, oklaskujący szablonową płytkość i bezbarwność, czy też ogół, nie będący w stanie wydać z łona swego bystrzejszych, sprawiedliwszych a nadewszystko mniej pospolitych znawców; ogół rozleniwiony, ospały, niespragniony bynajmniej nowych prądów, ogół któremu dobrze w tej szarej, mdłej, zadrzemanej jednostajności, jaka go otacza, zdaje mu się bowiem, iż śni ową fantastyczną bajkę o pięknej zaczarowanej królewnie, śpiącej tak słodko w kryształowej trumnie pod stropem kryształów.

Odwieczne to i nierozwiązane dotąd pytanie: czy ogół bardziej oddziaływa na jednostki, czy też wybitne, obdarzone wzrokiem jasnowidzów, pełne siły prozelitycznej jednostki na ogół i — czy on wytwarza owe potężne, genialne, czy też pochodzenie ich samorodne, uwarunkowane wprawdzie stanem umysłowości pokoleń poprzednich lecz związane słabą lub żadną nicią z teraźniejszem, po za które wybiegają daleko.

Niema najbardziej pospolitego społeczeństwa, któreby nie wydało z siebie kilku wybitnych osobników, ogarniających widnokrąg bystrym wzrokiem, czujących żywo i natchnionych apostołów.

Osobniki podobne uważają za cel życia swego rozproszenie owych mgieł brudnoszarych, otaczających ogół, wśród którego wyrosły, a straszących każdą myśl trzeźwą, jak nocne widziadła. Przychodząc na świat z silną świadomością ciążącego na nich zadania, usiłują leczyć społeczeństwo z daltonizmu moralnego, w jakim przypadkowo, czy z dobrej woli pogrążony został wzrok czującej i rozumującej jego istoty: jeżeli jednak dobrze jest tłumom w dusznej atmosferze przeciętności, wówczas nie pomoże najsilniejszy prozelityzm owych kilku wybitnych dźwigni społecznych. Ci, co zdaleka śledzą ich pracę, posądzać je mogą o brak silnego impulsu, o to, iż myśli ich nie płyną dosyć szerokim i bystrym prądem, aby módz zgarniać po

---

Trzy zamaszyste kroki w korytarzu, knak, knak do drzwi i wchodzi student Olsen, długi i chudy. Cylinder wziął do ręki, jednak musiał się schylić.

— Dzień dobry! Proszę siadać!

Olsen podniósł poły surduta i siadł na najbliższem krześle. Był dziś trzeźwy; mówił, jak mówią chłopi. Kapelusz położył sobie na kolanach, laskę trzymał w ręce, wyprostowany był jak kij. Na przodzie głowy miał łysinę, z tyłu — włosy długie, twarz długą, kanciastą, głęboko wybrużdżoną. Ołowiano-szare, mało oczki mrugały bezprzestannie i równomiernie. Surdut był wytarty, kołnierzyk poplamiony, buty wykrzywione, prawie bez obcasów. Ten Olsen prawdziwym panem nie był; ot sobie syn wójta z południa. Miewał brzydkie napady pijactwa; był jednak uczony, więc mimo to wszystko Enoch żywił dlań coś, niby szacunek.

Wszczęli rozmowę. Olsen przyszedł dziś „w interesie.“ Chciał się dowiedzieć, czy Enoch nie potrzebuje czasem nauczyciela domowego.

— Owszem — Enoch wymówił to zwolna, przeciągle.

Wiedział, że Olsen jest drogi. Kiedy jednak Bóg człowieka tego tu zesłał, to może taka jest wola Jego. Możnaby się połączyć z Perem, więc znowu tak drogo nie wypadnie. Sam nie mógł podołać.

Nazajutrz dzieci Enocha razem z dziećmi Pera siedziały na ławce szkolnej.

Gunnar był szczęśliwy. Wolno mu było znowu przywdziać ubranie odświętne. A potem — te rekreacye; szalał jak dziki. Tłukł, bił się i wymyślał różne figle. Dokuczał zwłaszcza Olinie Perowej, ciągnął ją za włosy i bił, szczypał w ramiona i kłuł szpilkami; czasem rzucał ją na ziemię i wlókł za nogi; musiała poskarżyć się Olsenowi. Rzecz niepojęta, co się z tym chłopcem stało. Był nieznośniejszym od wszystkich dzieci razem. Czemu to przypisać?

Zresztą szło dobrze. Olsen był dzielnym nauczycielem, kiedy miał dobre dni swoje; ożywiał dzieci, które korzystały. Surowym nie był; rozmawiały, siedziały sobie, jak chciały. On zaś przechadzał się dumnym krokiem po izbie i gawędził. Gdy jednak spostrzegał, że tracą chęci, wypędzał je.

Wieczory spędzał w sąsiedztwie, najchętniej w Helge; tam, wypiwszy kieliszek lub dwa, zaczynał „kazać.“ A ludzie gromadzili się wokoło niego i mieli zeń uciechę. Gdy się jednak spił, opowiadał swoje „koleje“; tego nikt nie rozumiał. Olsen wpadał w gniew.

— Wy sowie dzieci, wy ośle głowy! — wołał. Albo też wzdychał i stawał się melancholijnym.

— Pomyśleć tylko, że tu znajduję się ja, największy pieśniarz Norwegii — i w jakiem otoczeniu! *Ah, quelle vie, quelle vie, ah, voici un malheureux!*

W sobotę zamknął szkołę o dwunastej, zjadł obiad i udał się na wędrówkę.

Wrócił do domu dopiero po wieczerzy. Miał minę nadzwyczajnie pańską.

Zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami, odchrząkiwał, jak gdyby chciał coś powiedzieć; potem skrzyżował ręce na piersiach i stanął w pozie.

— Wysoce uczony Enochu Haawe, czy opowiadałem ci już kiedy o epoce nawiedzeń, które mnie spotkały?

— Życzyłbym ci, aby to cię kiedy spotkało — odparł Enoch.

Olsen znowu zaczął chodzić; pewnie nie słyszał wcale odpowiedzi.

— Tak, druhu — takie rzeczy nie przytrafiają się byle Pawłowi lub Gawłowi! Wogóle nie można być poetą, skoro się

drodze wszystko, co oporne i rozleniwione w gnuśnej ospałości.

A jednak... owi apostołowie dobrej woli i trzeźwych poglądów tracą zdrowie, siły, nie uginając się w walce z banalnością i szablonem, lecz cóż ztąd wynika? To, że większość, pozbawiona trzewi i soków, któreby mogły strawić pokarm, nie zawierający mdłych przypraw, do jakich przywykła, barykaduje postęp, który w stosunku do przedawniałych, piżmem i kamforą tchnących tradycyi wydaje się ziarnkiem maku, rzuconem na dno zatęchłego, sitowiem i rzęsą obrośniętego stawu.

W epoce t. zw. dekadentyzmu, *fin de siècle* itp. przywykliśmy tak daleco do najdziwaczniejszych wybryków myśli ludzkiej, do tysiącznych wzlotów jej i porywów w krainę... piękna i dobra, czy też zła i brzydoty, w każdym razie do rwania się i szarpania jej, do szamotania zgłodniałej, wciąż świeżych wrażeń chciwej, nigdy nie nasyconej, wiecznie pożądającej, wiecznie spragnionej nowości, że zdziwiłoby nas, gdyby potoczyła się ona nagle, spokojnem i równem korytem. Śledzimy jednak to rozsypywanie się jej na drobne partye, partyjki na szkoły i kierunki, takiem lub innem godłem natchnione, śledzimy to wszystko na zachodzie, prześlepiając całkowicie martwotę i zaśniedziałość naszą. Wystarcza nam najzupełniej przeświadczenie, że Francya ma swoich symbolistów, dekadentów, magów, egotystów i egzotyków. Zwolennicy mody czytają z zajęciem i ciekawością Huysmannów, Barresów, Beaudelairów, Verlainów i Pelladanów, lecz. . ruszają ramionami, zdziwieni i pełni pogardy, ilekroć wpadnie im w ręce oryginalna, odskakująca od tła, ogólnego szablonu praca którego z literatów naszych. Nie rozumiejąc jej, odkładają na bok dzieło, które, potępione przez ogół, zbyte milczeniem przez przeciętnych krytyków, zalega półki księgarskie, póki nie zostanie sprzedane na funty.

Słusznie twierdzi p. Jellenta:

„Ze wstrętem mówi się zwykle o plagiatach, ale one, doprawdy, mniej szkodzą i mniej obrażają ideę zbiorową, niż pospolitość gustu w autorze, niż małość charakteru, niż próżność, zastępująca ambicyę, niż tanie efekta, niż poddawanie myśli, że kartofel jest gruszką.“

Jak często, niestety, jak często, niemal codzień spożywamy kartofel za gruszkę!

Wytworzył się u nas pewien rodzaj „kliki,“ opartej na stosunkach czysto towarzyskich. Znajomi chwalą znajomych, bo jakżeż mogliby ganić ich, spotykając się z nimi dwa lub trzy razy tygodniowo na kawkach i herbatkach. Dalej — chwalą jedni drugich na zasadzie „jak ty komu, tak on tobie.“ Naganie lub milczeniu podlegają jedynie autorzy, stojący po za kordonem „kliki“; stąd — biedny nasz, szary, martwy, mało pod względem estetyczno-filozoficznym rozwinięty ogół bywa oblagowywany ustawicznie. Każą mu zachwycać się tem, co w rzeczywistości marne i warte raczej kosza, aniżeli szpalt t. zw. poważnych dzienników; karmią go mętnymi, wodnistymi artykułami i szablonowymi utworami beletrystycznymi, które ani jednem słowem nie wyrywają go z leniwej, ospałej drzemki pojęć i myśli.

Zadanie kilku ludzi głębokiego umysłu i dobrej woli, którzy pragną podnieść ogół do siebie nie zaś zniżać się do niego ustawicznie; którzy chcą wykształcić zmysł estetyczno-filozoficzny społeczeństwa swego, rozszerzyć widnokrąg jego pojęć, dostroić go do kamertonu wszechświatowej wiedzy, zadanie tych ludzi u nas jest to ciągłe zwracanie steru pracy pod wiatr. Gdzieindziej jednostki wybitne tworzą kierunki, szkoły: u nas — dźwigają z wysiłkiem brzemię ciążącego na nich zadania, podziwiani przez nieliczną garstkę biernych, zarażonych trądem ogólnego odrętwienia przyjaciół, kamienowani przez ogół.

Piśmiennictwo każdego społeczeństwa podzielić można na: twierdzące i przeczące. Pierwsze schlebia smakowi szarych, niewyrobionych tłumów, drugie — stanowiąc poniekąd kontrolę pierwszego — wykazuje błędy i niedobory owego ustawicznego potwierdzania i, przecząc wszystkiemu, co banalne, przejściowem wymaganiem mody i chwilowych gustów natchnione, wypowiada słowa gorzkiej, piołunowej prawdy. Gdzieindziej — w społeczeństwach ruchliwych, kształcących się lub już ukształconych, prawdy owe bywają czytane, rozchwytywane, dyskontowane przez najbardziej nawet opieszałych zacofańców: u nas — dosyć przejrzeć listę prenumeratorów dzienników oraz tygodników, aby mieć dowód, jak słaby dostęp do umysłów czytającej publiczności mają świadomi celów swoich przedstawiciele prasy negatywnej.

Garstka obrażonych o to, iż przeczenie zbyt silnie, niekiedy niemal wprost osobiście ich dotyka, wytwarza rodzaj głośnych jej krytyków, którzy, nie mając sposobności lub talentu wypowiadania przekonań swoich w druku, ujawniają je przy każdej możliwej sposobności.

Są to najczęściej jednostki należące do tak zwanej inteligencyi, których słowa i czyny działają prozelitycznie na koła ludzi, związanych z nimi bądź interesem, bądź stosunkiem towarzyskim. Jednostki owe, czytając niewiele, my bowiem, jak wiadomo, wogóle czytać nie lubimy — od czasu do czasu w chwili nudnego wyczekiwania w cukierni przy filiżance czarnej kawy na mających zebrać się tam partnerów bilardowych, z rozziewanemi usty biorą do rąk położone na stoliku przed nimi przypadkiem pismo negatywne: nieszczęście mieć chce, iż natrafiają na artykuł, w którym kierownik pisma narzeka na blagę naszą, na brak zamiłowania ścisłej pracy, na lekkomyślność, na traktowanie każdego fachu jako środek zarobkowania jedynie, a zatem — na niekształcenie się w nim dalsze i utknięcie na martwym punkcie raz zdobytych, zaśniedziałych przez czas wiadomości, na schlebianie prądom mody i naśladowanie zagranicy we wszystkiem, co stanowi piankę wierzchnią, lekkie szumowinki, nie zaś gruntowną treść postępu. Jeżeli czytelnik przypadkowy jest lekarzem a spotka w kronice tygodniowych rozmyślań wzmiankę niepochlebną, o którym z kolegów swoich, co dla nierozegranej partyi winta zaniedbał w szpitalu ciężko chorego człowieka, w kurczach przedśmiertnych oczekującego pomocy „zbawcy ludzkości“; jeżeli jest adwokatem, duchownym, biurokratą i komukolwiek z kliki jego zarzuconym zostanie wyzysk maluczkich, wnet z hałasem rozbija stojącą około siebie filiżankę czarnej kawy, wstaje oburzony, mnie pismo, które śmie karcić towarzyszy broni jego, eo ipso i jego samego; dysząc zemstą, staje się od tej pory zawziętym wrogiem drukowanej negacyi: na zebraniach towarzyskich, na rautach publicznych, na ulicy, w tramwaju i cukierni obrzuca gradem potępienia śmiałków, którzy „piórą własne brudy“; rzuca się, ciska, pieni, jak szalony, póki garść otaczających go słuchaczy, nasz szary, bierny, martwy ogół, skłonny do suggestyi, jak najbardziej wyrobione medyum, nie obdarzy go salwą brawa. Wówczas mściwość jego znalazła pewne ujście: setka jednostek uwierzyła mu na słowo i za nim, pełna gołębiej ufności, powtarzać będzie w dalszych kołach to, co on mówił.

To są nasi „pseudo-krytycy“ natchnieni przez obrażoną własną godność i ambicyę.

Znajdziemy jeszcze innych, prostych blagierów, spragnionych posłuchu, żądnych przelotnej towarzyskiej sławy. Ci, nic czytając nic zgoła, połapawszy tu i owdzie lu-

---

przynajmniej raz w życiu nie było waryatem, jak to zwykli określać filistrzy.

— Hm, przypominam to sobie tak, jak gdyby zdarzyło się wczoraj. Był to jasny, jasny poranek. Parowcem płynąłem przez przepyszny fjord Chrystyanski; miałem zamiar odwiedzić sławnego duńskiego nerwopatologa... byłem bowiem nie zwaryowanym, ale nerwowym. „Na południe, na południe, jak dzika gęś“ — brzmi wiersz jednego z moich poematów. Kiedy tak siedzę sobie sam jeden w kąciku, nagle błysło mi w głowie: Ty, Ole Chrystyan Olsen jesteś, z przeproszeniem ś..... Ale twoje wnętrze, twoja dusza — to promień, to drganie początku wszechświata, śpiew wielkiego arcypoety...

Wyciągnął ramiona, poruszając palcami.

— I uczułem w sobie Boga, żywego Boga! Uwierzysz, Enoch?

— Mnie... zdarzyło się coś, co może jeszcze jest większe!

— Dzięki Bogu, że mnie rozumiesz, Enoch. Błogosławieństwem jest przebywać wśród ludzi światłych. Gdy jestem tu, przy tobie, zdaje mi się, że czuję znowu podmuch kultury...

— Tak, była to wielka chwila. Przez długi czas chodziłem potem jakby w upojeniu, w lekkiej, świetlanej mgle, a zwałem ją mgłą poetów... I potężny głos mówił we mnie wyraźnie, bez słów: Tyś jest ten, który większym jest od Shakespeare'a!

A teraz następuje epizod, który, sybjektywnie wziąwszy, należy może do najciekawszych wydarzeń mego życia. Moje, tak nazwane, waryactwo polegało mianowicie na silnie pulsującej fantazyi... jest to dar poetycki, którego nigdy w tym stopniu ani przedtem, ani potem nie zaznałem... Słuchasz, Enoch?..

— No, słucham?

— Myślałem wtedy, że to prąd magnetyczny, wychodzący z ziemi, sprawia ubytek sił a powoli i śmierć. W owym czasie prąd ten ustał; ziemia zachowywała swoją siłę magnetyczną, a umarli powracali.

— Przestrzeń o tyle przestała dla mnie istnieć, że równie dobrze rozmawiać mogłem z człowiekiem, przebywającym w Krymie lub w Grecyi, jak z osobą, znajdującą się w moim pokoju. Jeżeli powiem, że improwizowałem po tysiąc wierszy, powiem mało. Przez trzy miesiące bowiem wydawało mi się, że publiczność moja zbierała się o ósmej wieczorem, a wtedy, uwaga! — raczyłem ją dzień w dzień aż do jedenastej wierszami, które formalnie się goniły, a tryskały dowcipem; co się zaś tyczy doskonałości formy, tom ją nieraz jeszcze osiągnął, ale nigdy nie przeszedł.

— Hm, tak, to — zaczął Enoch. Lecz Olsen zdawał się nic słyszeć.

— He, he, raz wmówiłem sobie, że Göthe powiedział, czy też popełnił coś, co mi się nie podobało, więc zacząłem napadać na Göthego. Jest on moim zmarłym kolegą, jednym z największych poetów świata. *Ah, c'est vrai*; tego ty nie rozumiesz. *Ah, limbécile...* Ale posłuchaj, com napisał na Henryka Wergelanda, przeciw któremu wystąpiłem z powodu jego niemoralności — a słusznie:

— Jak długo jeszcze Henryk...

— Hm, odchrząknął Enoch — idź po psałterz, Gunnar! Czas wielki, abyśmy odprawili modlitwy. Olsen stanął, machając rękami. Był czerwony jak ogień.

(D. c. n.).

żne, niespojone ze sobą najlichszym nawet klajstrem zdania i poglądy, przyswajają je sobie, aby zabawiać niemi damy w salonach i mężczyzn w fumoirach.

Zdarza się tu niejednokrotnie posłyszeć tego rodzaju zdania:

— Literatura nasza upada; z każdym dniem mniej mamy prawdziwie zdolnych, utalentowanych pisarzów. Kilka lat temu *Prawda* niezłem była pismem: dziś poziom jej obniżył się stanowczo, odkąd redaktor zajmuje się *Ogrodnikiem polskim* i toleruje współpracowników, cierpiących, jak Krzywicki, na *dyssocyacyę pojęć*. (Autentyczne).

Podobnego rodzaju frazes, pochwycony przez obecnych, z pomiędzy których mało kto zdobywa się na lekki protest, obiega, nakształt kuli śniegowej koła, kółka, kółeczka: przeobrażany kolejno, kończy się tem zawsze, że *Prawda* upada a Krzywicki cierpi na rozkojarzenie się pojęć.

Jest to tylko jeden maleńki przykład, wybrany z pomiędzy tysiąca jemu podobnych. Komentuje on sam siebie. Trudno coś dodać i coś ująć od niego. Na każdym kroku spotykamy się z niemi. Bałamucą one ogół, który mało gdzie chyba tak, jak u nas, skłonny jest do pływania po wierzchu narzuconych sobie przekonań, mało gdzie tak łatwo poddaje się bladze i suggestyi pierwszego lepszego z brzegu samozwańczego pseudo-krytyka.

A blaga nasza całkiem odmienna od tej, jaką spotkać możemy gdziekolwiek na zachodzie: tam polega ona na reklamie, której czas długi opierały się uczciwie nasze pisma, która, niestety jednak, wkradła się powoli do szpalt naszych dzienników, przynosząc im zysk niemały.

Na zachodzie zręcznemi manewrami Barnuma uczeni, powieściopisarze, artyści umieją zapewnić sobie rozgłos. Najbardziej ukształcone tłumy podlegają suggestyi, to też i tam wytwarza ona często jednodniowe bóstwa, nigdzie jednak nie spotykamy tego, aby jednostki, nieczytające nic zgoła, nie mające pojęcia o literaturze, filozofii i naukach społecznych, aby pawie, nadęte sztucznym balastem kilku nędznych encyklopedycznych wiadomostek, stawały się augurami piśmiennictwa i tworzyły dokoła siebie szkoły krytyczne.

Przeciętny filister nasz pracuje pół dnia, drugie pół spędza na kartach, bilardzie lub szachach, w antraktach zaś między jednym robrem a drugim wygłasza tezy krytyczne prac, które zna z tytułu jedynie.

Pozornie, dzięki bladze naszej, jesteśmy uważani za ogół, niezmiernie oczytany, niezmiernie encyklopedycznie ukształcony, zajrzawszy jednak w głąb społeczeństwa naszego, dostrzegamy łatwo, iż czyta, pracuje, śledzi ruch i przeobrażanie się myśli zaledwie jeden słaby procent jednostek, reszta zaś chwyta z powietrza pojęcie o stanie piśmiennictwa naszego.

Smutne to, ale prawdziwe. Na każdym kroku spotykamy najniedorzeczniejsze sądy, najbardziej paradoksalne uwagi, najbardziej śmieszne oceny literatury.

Zresztą, weszło w zwyczaj u nas „pisać.“ Każdy, co tylko umie trzymać pióro w ręku, tworzy. Potop najbanalniejszych pod słońcem artykułów zalewa dzienniki. Pesymiści nasi, najczęściej, nie czytając ich, głoszą upadek literatury; głosząc jednak na chybił trafił, celują tam właśnie, zkąd ustawicznie brzmi nawoływanie do odwrotu z mylnej ścieżki, do poważniejszego zastanawiania się nad życiem społecznem i jego potrzebami.

Weszła u nas również w modę potrzeba znajomości sztuki i rozprawiania o niej w jaknajliczniejszych kołach. Być melomanem, jest to największa pochwała dla przeciętnego filistra.

To też coraz częściej spotykamy ludzi, pozbawionych całkowicie słuchu, nie będących w stanie rozróżnić dysonansu od tonu właściwego, którzy, uczęszczając jaknajregularniej w świecie na koncerty i opery wygłaszają zdania arbitralne tak o wykonawcach, jak i o kompozycyach. Znajomi i przyjaciele powtarzają za nimi banalne ich, zwykle na reklamach dzienników oparte uwagi, pozostaje zatem tylko nieliczna garstka prawdziwych zwolenników i znawców muzyki, natrafiających na właściwy ton oceny, ci jednak milczą wobec „znanych i cenionych ogólnie augurów,“ uważając za bezcelową walkę z wiatrakami.

Tak więc, jeżeli dużo złego może narobić krytyka oficyalna, mająca za sobą potęgę druku a nadająca wartość i cenę rzeczom banalnym, to nie w mniejszym stopniu okazuje się nią owa pseudo-krytyka, wygłaszana wprawdzie słowem i gestem jedynie, lecz rozbiegająca się, niby pocisk kamienia, rzuconego w wodę, w kółeczka, kółka i koła, łączące się z innemi i wytwarzające chaos pojęć, istną wieżę Babel najniedorzeczniejszych uwag i refleksyi.

Krytyka drukowana, zamiast kłaść tamę bladze owej krytyki czysto towarzyskiej, przeciwnie, pozbawiona w większości wypadków barwy i objektywizmu, blada, przeciętna, bez charakteru, daje pełne pole rozwojowi jej. Masy średniej i niższej inteligencyi naszej podlegają zatem ustawicznemu okłamywaniu, ale im z tem dobrze, drzemią sobie bowiem spokojnie, nie wiedząc zgoła, jak często każą im ganić rzeczy dobre, chwalić złe, jak często każą im brać „kartofel za gruszkę“ i przeciwnie.

Selika.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

VI.

Stoję u stóp kanadyjskiego urwiska, w żółtej nieprzemakalnej odzieży. Zwiedziłem pieczarę pod lewą krawędzią Podkowy. Spostrzeżono, że jedno miejsce spadającej płachty jest nieco ciemniejszem, i wywnioskowano, że grubość jej nie może być znaczną. W twardej skale wywiercono długi korytarz i w jego końcu wybito okno, któremu tafla wodna służy za szybę.

Spuszczam się z głazu na głaz, sam jeden na całem urwisku. Woda posiada barwę mleka. Z krańcowej skały przyglądam się potędze tego waru, w którym kipi rzeka, kiedy jej smugi i płachty połączyły się znowu w jednem łożysku. Bałwan biegnie po bałwanie, dziko uderza o kamienne kajdany, odskakuje i znowu naciera. Kilka stóp wysokości przedziela mnie od spienionego nurtu — wyróżniam każdy ton jego ryku. Towarzystwo, z którem jechałem w elewatorze, oddawna mnie opuściło, a teraz wraca z Kamiennego stołu, wołając, abym ostrożnie tam wchodził. Rada ta budzi mnie z uśpienia, stąpam po wilgotnych ścieżkach, na których niegdyś pełzały krocie wężów, lecz odebrano im dawne siedziby wodospadu. Ścieżka wspina się po skale w górę, zbiega na dół, przerzuca się mostkami z głazu na głaz, coraz zdradliwsza, coraz bliższa boku Podkowy. Pomiędzy skałami pienią się wartkie odnogi, jakiemi woda, rozbita o skały, wlewa się do macierzy. Wśród kurzawy wznosi się Stół kamienny. Idę wśród ulewy i wiatrów pod wystającą skałę. Istotny huragan zrywa się nade mną, wypędza mnie z otwartego przestworza, oblewa wodą i hukiem. Chwytam się za poręcz drabiny, która prowadzi na Stół kamienny lecz coś mnie z niej spycha i podcina nogi, ręce spazmatycznie trzymają się szczebli. Walczę o każdy stopień. Wreszcie wychylam głowę, chcę spojrzeć. Nic nie widzę wśród powodzi i wichru. Z jednego boku spada samotnie zabłąkany słup wody, z drugiej wyje mleczna kotłowina, tysiące wytrysków plwają na mnie ze swojej paszczęki. Strach mnie ogarnia, chowam głowę i na czworakach schodzę, uciekając pod pobliską skałę. I tutaj woda pryska zewsząd, ale cóż znaczy ten deszcz wobec świeżej potyczki z rozhukanymi żywiołami! Odpoczywam na oślizłym ustępie głazu. Dawni turyści, którzy bez mostków i drabin wdrapywali się na Stół kamienny, pozostawili opowieść o tem, że jakaś siła — nieczysta! — zastępowała im drogę, póki nie złożyli ofiary. Rzucali kamyczek a moc owa znikała... Chęć bierze być na tym zaczarowanym głazie, a raczej szczątkach jego, bo część runęła w nurty. Wracam drogą, po której niedawno uciekałem tak sromotnie wdrapuję się, znowu wychylam głowę — wichura ledwie jej nie urwie. Bryzga i chłoszcze wodą; niebo, rzeka i wodospad połączyły się w całość; trudno powiedzieć, gdzie jedne żywioły się poczynają a inne kończą. Powierzchnia stołu ma kilka stóp, pochyla się zlekka. Noga stoi na niej niepewna...

Dzwonię na elewator. Nim spuści się, rozglądam się po okolicy. Stół kamienny czerwienieje wśród pierwszych obłoków kurzawy. Ale jak skromnie wygląda to miejsce w porównaniu z dalszymi kłębami, które są znowu niby drobnym pyłkiem w obliczu piekła, unoszącego się w środku Podkowy! Uczucie zawodu prześladuje mnie, kiedy wznoszę się do góry. A przy wyjściu podchodzi fotograf i proponuje zdjęcie. Płótno z kłębami kurzawy oczekuje, dość usiąść przed niem. Przerzucam podane fotografie, uśmiechnięte twarze z pod kaptura świadczą o dumie podróżników: pochwalą się, że zajrzeli w paszczękę Niagarze, a fotografia posłuży za niezbity dowód. Tandeta!

* * *

Tylko co skończyłem czytać opis wyzwolenia Niagary, tego „huczącego grzmotu,“ jak opiewa jej nazwa indyjska. Biały człowiek, jak tylko wszedł na jej terytoryum, natychmiast opasał ją wieńcem prywatnych działek. Jakiś patryota, który za usługi, wyświadczone ojczyźnie, otrzymał prawo zażądania kilkunastu akrów ziemi, gdzie zechce, wybrał je na wyspie Kóz. Kto chciał dostać się do miejsc, z których odkrywał się szerszy widok na tę groźną urodę, musiał uiszczać haracz tym nowożytnym rycerzom otwartej drogi. Ale obdzierano nie biedaków. Wyzysk pustoszył kieszeń zrozpaczonych dyabłów spleenu, którzy, mimo swego Child-Haroldyzmu, dbali o każdy grosz, wyciągnięty z sakiewki. Krzywda, która bez tego setki lat drzemałaby pokorna, zawołała o pomstę do państwa. Do rzędu Stanów Zjednoczonych wpływa petycya, opatrzona mnóstwem podpisów, w tej liczbie Lubbocka, Carlyle'a, Ruskina. Milionerzy amerykańscy zawiązują ligę w tym samym celu — „wart setki milionów“ Vanderbilt agituje o wywłaszczenie posiadaczów i unarodowienie okolicy wodospadu. Pluskwom, gnieżdżącym się na setce akrów, rzucono 3 mil. rubli odczepnego i w r. 1883 w obecności tłumów ogłoszono Niagarę za własność całej ludzkości.

Wchodzę na wiszący most, wiążący na wiorstowej odległości od Podkowy oba brzegi. Pode mną w całej okazałości wodospad, olbrzymi, śnieżny, huczący, kąpiący swe stopy we wrzącem mleku. Z drugiej strony — wstręt bierze spojrzeć! Z urwisk wyrastają brudne ceglane zręby, zpośród ich kadłuba strzelają ku czystemu niebu jeszcze brudniejsze kominy, z których buchają kłęby czarnej sadzy, łączą się w uścisku i tworzą ogromną plugawą chmurę

Śnieżność wodospadu i brudy przemysłu, wolne siły swobodnej przyrody i warownia wyzysku! A z pod fabryki, przez otwory, przewiercone w skale, tryska powódź drobnych wodospadów, tak samo śnieżnych, jak wielka macierz, od której łona je odcięto. To człowiek ukradł wielkiemu nurtowi kilka wodnych nici, zamknął w kanale, zmusił do obracania kół w fabryce i pomocy w robieniu majątku. Ucho chwyta odgłos spadku tych sierot, które jak gdyby jęczą, że ich siłę, którą kiedyś wyładowywały swobodnie, zaprzężono do jarzma, że z wolnego ruchu ciężkości zrobiono posługacza. Bezpłatny motor! Jak podniósłby on rentę i jak pobiłby współzawodników na rynku wszechświatowym! Vanderbilt i inni kuszą od lat kilku rząd Stanów Zjednoczonych — jednego tylko chcą cala, nawet wezmą setną jego cząstkę, a taka okruszyna nie zubożY olbrzyma, nie zmniejszy wspaniałości, nie zniszczy uroku! Dlatego to możnowładcy nadwyrężyli święte prawo własności i zmietli drobne robaki z okolicy wodospadu... Wymogli koncesyę, założyli towarzystwo akcyjne z kapitałem 10 mil. dolarów, a setki najemników kończą tunel, który urwie rzece kawał nurtu i zamieni go na elektryczność lub motor zgęszczonego powietrza. Elektryczność będzie przeniesiona do brudnego Buffalo, gdzie między innemi będzie rozpraszała mroki nocne, a technicy pracują nad transportem do dalszych miejscowości: kilkaset tysięcy rubli nagrody oczekuje tego, kto rozwiąże zadanie. W przewodniku znajdujemy zapewnienie, że „dopiero wtedy — tj. kiedy Niagara zamienioną zostanie na niewolnicze pasemka żywej siły — czuć będziemy, że ziemię opasuje żywa girlanda, która drga i tętni na rozkazy, wie, iż ją okrąża wieniec napiętej energii, ale zmuszonej do prawidłowego pulsu.“

Kiedy wracam do parku, indyanka zastępuje mi drogę z różnymi drobiazgami „indyjskiej“ ręki, w tej liczbie z postacią Kolumba na tkaninach. Biedna córo wydziedziczonej rasy, wolałbym, abyś sprzedawała siebie samą, aniżeli wizerunki tego człowieka, które wtłoczyła ci do ręki nędza a wyprodukował w swojej fabryce jakiś nabab! Czy nie wiesz o tem, jak kilku twoich współbraci zjawiło się nieproszonych na uroczystość otwarcia wystawy? Kiedy zdziwieni kierownicy zagadnęli ich, uniewinnili się, że nieproszeni przyszli na obchód, ale wszak i Kolumb nieproszony przybył do ziemi ich ojców, a później potokiem polały się skargi, wnosząc rozdźwięk do hałaśliwej hecy święta. Wszędzie w parku spotykam opasłych ichmościów z torebkami w ręku; rozkładają się oni na ławkach i ze skupieniem żołądka spożywają dary sztuki gastronomicznej. Kolej żelazna przynosi ich teraz tysiącami dziennie. A któż z nich ważyłby się wkroczyć na to terytoryum, gdyby musiał iść śladem pierwszych turystów, zdobywających z narażeniem swego życia śliskie głazy i jaskinie? Olbrzymie hotele rozsiadły się i jak ladacznice zapraszają każdego, aby zamieszkał w celce i jadł gastronomicznie przybraną truciznę. Każde okno, każda cząstka zdradzają tandetę a domy niby chlewy szpecą przyrodę. Wszelki objaw *businessu* w tem miejscu wygląda na świętokradztwo.

* * *

Jaskinia wiatrów jest zakątkiem, gdzie człowiek najgłębiej przenika w łono wodospadu — mostki, które wśród kurzawy oglądałem z „Dziewicy pyłu“ prowadzą do niej. Jeżeli wiatr sprzyja, można z jej wnętrza oglądać tęczę w postaci zamkniętego koła, a niekiedy kilka. Ale jest to najniebezpieczniejsza część wycieczki do Niagary, zaledwie kilka osób na sto ją przedsiębierze. Z przewodnikiem — bez niego niepodobna się obejść — pod osłoną wystającej skały dostajemy się do mostków i zapuszczamy się w obłok kurzawy. Nawałnica jest gorszą, niż ta, która zepchnęła mnie z Kamiennego stołu. Pomost przerzuca się z głazu na głaz po nad huczącymi potokami, zagina się w około, wreszcie wkracza w wolną przestrzeń pomiędzy dwoma słupami spadającej rzeki. Przewodnik bierze mnie za rękę, bo w mroku nic nie widzę. I otwarły się upusty niebios, i Eol — dodajmy — wypuścił wszystkie wiatry. Huk ogłuszający, nie słyszę, co mówi mój *cicerone*, z jego przemowy zrozumiałem przeciągłe *look at*. Chcę patrzeć, ale woda zalewa oczy. Pomost urywa się, jesteśmy w ciemnej jaskini, świszczącej, wyjącej, chłoszczącej. Mój opiekun ciągnie mnie coraz dalej do tej otchłani, nogi brną po kostki w zimnej wodzie, wolną ręką macam po śliskiej skale, pierś drży jak w prysznicu. O dwie, trzy, najdalej dziesięć stóp spada woda z druzgocącą siłą w otchłań, której głębokości nikt nie mierzył. Zamknięte niemal ciągle oczy nic nie widzą, a uczucie, że jest się na łasce kogoś, niszczy wszelki powab. Chciałbym pozostać czas jakiś wśród tego huku i deszczu, tuląc się do skały, ale przewodnik ciągnie — mówić nie warto, nie usłyszy. Noga natrafia jakieś schody pod nogami, jeden, drugi, piąty. Wychodzę z jaskini, przeszedłszy pod spadającą szmatę — plecami do wodospadu!..

Cicerone prosi, aby coś mu ofiarować. Codziennie sprowadza na dół kilkanaście osób, niektóre musi w pół obejmować, bo tracą przytomność. a za to od przedsiębiorcy nie dostaje nawet i dziesiątej części haraczu. Wszak ubiór, w który odziewają widzów, nie wart i setnej części dochodu, jaskinia zaś świszcze darmo i darmo daje wrażenia.

* * *

Błąkam się po wyspach, które usadowiły się wpośrodku rzeki pomiędzy wodospadami i docierają aż do samej przełęczy. Byłem na wszystkich Siostrach, przypatrywałem się Braciszkowi, od godziny włóczę się po wyspie Kóz i Księżycowej. Mosty wszędzie zwisły nad potokami, po których woda wprawia się do olbrzymiego skoku, jaki poniżej zamierza wykonać. Na wystających z rzeki kamieniach, o kilka calów od przełęczy, sterczą kłody drzewa, przyniesione przez nurt. Wysepki są bukietami zieloności, tylko że śród liści zabłąkały się jakieś dziwne świstki papieru. To oberżyści wielkiego stylu rozwiesili swoje reklamy i może sądzą, że przyrodzie przysporzyli powabu. Pomosty ciągną się aż do głazów, sterczących na przełęczy ponad otchłanią i pozwalają wzrok zanurzyć w spadającą kataraktę tuż nad nią. Sztuka inżenierska rozłożyła wszędzie drogi, najniebezpieczniejsze miejsca uczyniła dostępnemi nawet dla najlękliwszej synogarliczki i najtchórzliwszego trznadla. Nie darowano ani jednemu grzbietowi podwodnej skały, wychylającemu się ponad zwierciadło rzeki. Nie tak wyglądały te przestrzenie przed kilkunastu laty, dostanie się do tych miejsc, które tak wygodnie zwiedzam, było niebezpiecznem. A jednak była istota, która ukochała tak Niagarę, że obrała je wtedy za stałą swoją siedzibę — jedna z tego pokolenia, jakie Byron zaklął w melodyi swego słowa. Trzeźwa krytyka estetyczna, która wyhodowała się w trzeźwej — czytaj: tchórzliwej — szkole rozsądku mieszczańskiego, pogardą obsypuje duchową dziatwę tego poety, widzi jedynie pogoń za spódniczką, rozczochrane włosy i rozpiętą koszulę, ale zapomina, że ono pierwsze usłyszało jęki Hellady i uczuło rumieniec wstydu za poniżenie Italii. Jeden z tego awanturniczego szczepu, potomek zamożnego rodu angielskiego, zamieszkał samotny na tych głazach — w oczekiwaniu może żywszego podmuchu serc ludzkich. Dniem i nocą, w słotę i podczas pogody tułał się tutaj, bez stosunków z ludźmi, coś pisał i palił, kąpał się w kaskadach porohu o kilka kroków od zagięcia, zwieszał się z głazów na przełęczy. Pił całem swojem jestestwem niebezpieczeństwo — Niagara też przytuliła w swoich głębiach samotnika, a tradycya dała mu miano pustelnika wodospadów. Nieco wyżej, pod pierwszym porohem, który ciągnie się przez całą rzekę, wątłe łodzie kontrabandzistów przewoziły ciemnemi nocami przemycany towar. Rzadka odwaga, zresztą wszędzie nieodłączna od szwarcowników.

* * *

Zmęczony wielogodzinną wędrówką, odpoczywam na wyspie Kóz na ławce. Akurat pod tem miejscem u stóp urwiska wije się ścieżyna, która prowadzi do Jaskini wiatrów, a kamień, stąd rzucony, grozi przechodniowi niebezpieczeństwem. Ręka prawodawcza wie o tem i zapobiega swawoli w sposób amerykański. Tablica głosi: stone, thrown over the bank, may fall upon persons below. Krótko, węzłowato, a jednak wystarcza!

W gruncie jestem niezadowolony z całej wycieczki. Pamięć usiłuje wskrzesić obraz całości, nie udaje się jej jednak. Fragmenty tylko wypływają: to kurzawa Stołu kamiennego, ten lub ów słup, widok z tego lub innego miejsca. Rozszarpane szczątki! Jak zgłodniały, który dostał kęs chleba i z głodu nie ma czasu rozkoszować się jego smakiem, tak samo ja pożerałem Niagarę. Czuję, że trzeba dłuższego pobytu, aby z odłamków ułożyła się całkowita mozajka. Ale niepodobna tego uczynić, muszę odjechać z chaosem cząstek. Byłem w Niagarze, ale jakby nie byłem, nie mam bowiem jej w swojej wyobraźni. Pomimo że jeszcze kilka godzin mogę tutaj zabawić, straciłem chęć pozostania. Uciekam najbliższym pociągiem.

L. K.

MIESZKANIE ZA DARMO.

Paryż, 30 lipca.

Między wielomastronami życia społecznego, które obecnie coraz głośniej domagają się interwencyi władz publicznych, jedno z najpierwszych miejsc zajmuje kwestya mieszkaniowa. Zrodził ją rozwój wielkich miast, które, nagromadzając na niewielkiej przestrzeni masy ludności po większej części niebogatej, przybrały charakter koszarowy, zostający w sprzeczności ze wszystkiemi wymaganiami hygieny i zadający fałsz dawnemu ludowemu przysłowiu, że „słońce świeci dla wszystkich.“ Skupienie ludności podniosło ceny mieszkań; z drugiej strony towarzyszyło ono rozwojowi wielkiego przemysłu, który ciągnął za sobą ludność najbiedniejszą, często pozbawioną peryodycznie zajęcia, zamieniającą się wreszcie w stały „lumpenproletariat.“ Prócz tego, w wielkich miastach potykają się w najostrzejszej formie dwa krańce drabiny społecznej, i byt jednego wywiera ciągły wpływ na drugi: demoralizacya ludności biednej zagraża interesom zamożnych właścicieli, gdy ubogie cyrkuły stają się siedliskami zarazy, obchodzi to bezpośrednio zarówno pola Elizejskie, jak „Unter den Linden“; stąd zarówno brak i drożyzna mieszkań, jak ich niezdrowotność stają się przedmiotem powszechnych rozpraw i trosk.

Z Berlina przed paru laty urzędowna statystyka twierdziła, że trzy czwarte ludności żyje w małych mieszkankach, których 44% składa się z jednej izby, 29% z dwu, a 1% nie posiada wcale pieca, ani kominka. W Paryżu urzędowa statystyka jeszcze

nie doszła do dokładnych wniosków, i dr. Bertillon, naczelnik tego wydziału, podaje tylko na 47,627 ilość mieszkań, zajętych przez „ubogich“ (*indigents*). Za to badacze prywatni, jak Jerzy Picot, Cacheux, dr. Dumesnil, akademicy Maksym Du Camp i hr. Othenin d'Haussonville, po większej części konserwatyści, poświęcili kwestyi mieszkaniowej wiele czasu i miejsca. Z książki tego ostatniego, przedstawiciela monarchii orleańskiej, niezasługującego na podejrzenie o przesadę, wyjmuję następujące dane (*Misère et remèdes*, r. 1886, rozdział IV):

W r. 1883, z 47617 mieszkań, zajmowanych przez biedaków, wynajmowano za
mniej niż 100 fr. — 7,030 mieszkań;
od 100 do 200 fr. — 23,115 „
od 200 do 300 fr. — 8,289 „
nad 300 fr. (rocznie) — 2,063 „
reszta, jak mieszkania stróżów etc., oddawane były bezpłatnie.

Przeszło połowa, bo aż 27,385, składała się z jednego pokoju; dwa pokoje, z których jeden był zwykle kuchnią, miały 15,303 lokale, 3,735 nie posiadało żadnego pieca, a 3,192 oświetlone były przez okno, wychodzące na korytarz lub klatkę schodową. Pojęcie o czystości i moralności, panującej w tych mieszkaniach, daje fakt, że tylko 13 mieszkań miało po 5 łóżek w jednym pokoju; gdzieindziej, choć lokatorowie nie byli mniej liczni, jak mówi naoczny nasz świadek, tłoczono się na 2 łóżkach w jednym pokoju w 12,376 mieszkaniach; 4,771 lokali posiadało ich po 3, a 556 po 4 na jedną izbę. Hrabia zwiedził osobiście dwa mieszkania, kosztujące nie więcej, niż 100 fr. rocznie: w jednem, na poddaszu, gnieździło się 6 osób, do drugiego, ledwie oświetlonego, wchodziło się schylonym. Inaczej mówiąc, ze 150 do 200 tysięcy tych lokalów, 15% mieści się w takich dziurach, 57% śpi, je, rodzi i niańczy dzieci w jednej izbie, 8% ziębnie przez całą zimę, a 7% stale jest pozbawione światła. Średni jednak wydatek na mieszkanie, wynoszący 250 fr. rocznie, stanowi 15% płacy robotnika paryskiego.

Do naprawy złego zabrali się najpierw ludzie, którzy podnieśli sztandar obrony rodziny robotniczej, jedynej podpory oszczędności i moralności przeciw toczącemu ją rozkładowi, ludzie, mający wstręt do interwencyi państwa, drobnomieszczanie, jak Juliusz Simon i Siegfred, byli ministrowie, Picot, Cheysson, Rafałowicz — publicyści w Paryżu; Aynard i Mangini w Lyonie; Rostand w Marsylii. Powstało z ich inicyatywy towarzystwo „Société française des habitations à bon marché“, które bardzo czynnie wzięło się do dzieła i podczas ostatniej wystawy wystąpiło ze swemi budowlami w Auteuil pod Paryżem. Zasadą działalności tego stowarzyszenia jest danie robotnikowi *na własność* całego domku; domki te, długie na 5,9 metrów, szerokie na 5,6, ciągną się w Auteuil długiemi alejami, podobne jedne do drugich, monotonne, łącząc pozornie zachowaną niezależność pojedyńczych rodzin z kapitalistyczną koszarowością, rzekłbyś, Wersal proletaryatu. Aby dojść do posiadania takiego „rodzinnego ogniska,“ trzeba być do niego, jak zaraz zobaczymy, z góry przywiązanym: wnosić miesięczne składki przez lat kilka, aż się uzbiera z nich 300 fr. dających prawo do zamieszkania domku, wartującego 3,000 fr.; potem płacić jeszcze 180 fr. rocznego komornego i 6 fr. miesięcznej amortyzacyi kapitału, która kończy się po 25 latach. Nie mówiąc już o trudności zaoszczędzenia takich sum, o grożącem ciągle niebezpieczeństwie przerwania spłat, posiadanie własnej nieruchomości zmusza robotnika do pozostawania ciągle na jednem miejscu, co jest w zupełnej sprzeczności z przesileniami nowożytnego przemysłu i stanowi rzemieślniczy zabytek w społeczeństwie kapitalistycznem. Już podobne mieszkania robotnicze w Mulhousie nazwano tworzeniem przemysłowych „glebae adscripti.“

Jeszcze cięższe obowiązki na swych klijentów rozkłada „Sociéte des Immeubles Economiques,“ operujące w Hawrze. Nie dość, że przy zawieraniu kontraktu wymagalny jest zadatek 300 fr., zupełnie niemożebny dla najemnika, a przez okres amortyzacyi trzeba uiszczać 8%, 10 lub 13% wartości domu, stosownie do tego, czy trwać on ma lat 20, 14 lub 10, i prócz tego opłacać podatki i reperacye na swój koszt; w starym już domu, który się staje jego własnością, nabywca nie ma prawa nic zmienić, żadnego budynku postawić w ogrodzie, żadnego dymnika dodać na dachu. aby nie popsuć ogólnego, jednostajnego planu całości. Nie wolno mu trzymać szynku; nie wolno przez pierwsze dziesięć lat władania odprzedać lub wynająć *swego* domu, a jeśli się spali, musi go odbudować według pierwotnego planu. Towarzystwo tym sposobem ciągle zachowuje prawo kontroli nad „niezależnymi“ właścicielami, i widzimy tu iście hermafrodytyczne połączenie małomieszczańskiego, rodzinnego indywidualizmu z wielkoprzemysłowemi wymaganiami „porządku.“

Te „indywidualistyczne“ popędy zupełnie już porzuciła i do wielkomiejskiej koszarowości przystosowała się działalność „Towarzystwa filantropijnego,“ założonego przez chrzczonego filantropa Michała Heinego z kapitałem 750,000 fr. Towarzystwo to zbudowało w Paryżu trzy ogromne domy w trzech robotniczych dzielnicach, na trzech końcach miasta: przy ul. Joanny d'Arc, przy bulwarze de Grenelle, przy avenue de Saint-Mandé. Domy te zawierają razem 137 różnych mieszkań, wynajmowanych średnio za 288 fr. rocznie, co przynosi Towarzystwo 4% czystego dochodu. Reszta dochodu, skapitalizowana, będzie obrócona na budowę nowych klatek itd., za lat sto ma to, naturalnie, zbawić ludzkość. Tymczasem, aby złagodzić położenie żyjących, Rotschild daje co rok pewną sumę, nieznaczną w porównaniu z potrzebami, na zapłacenie komornego tych, którym gospodarze grożą wyrzuceniem na bruk.

Tyle co do usiłowań prywatnych. O interwencyi władz, a w szczególności rad miejskich, do których ta kwestya bezpośrednio należy, niewiele da się powiedzieć. W Anglii, gdzie, według dowcipnego zestawienia Sidneya Webba, pan rajca miejski, opuściwszy salę posiedzeń, przejeżdża municypalnym tramwajem do municypalnej biblioteki, oświetlanej i opalanej przez municypalność, i przez municypalny telegraf daje znać swym dzieciom, że nie może ich spotkać dziś w municypalnym ogrodzie, gdyż zajęty będzie pracą nad zbiciem szalonych projektów uspołeczniania, istnieje ustawa z d. 18 sierpnia 1890r., które daje władzom miejscowym prawo burzenia niezdrowych cyrkułów i wznoszenia na ich miejscu nowych budowli, któreby zapewniły mieszkanie wywłaszczonym; § 59 tego prawa pozwala im nawet na zakupionych na ten cel gruntach budować, lub przebudowywać stare domy, meblować nawet w nich mieszkania dla robotników. We Francyi, scentralizowanej, od lat kilku bardzo protekcyonistycznej, lecz w zasadzie stale nieinterwencyonistycznej, gdy w r. 1884, po ankiecie, dotyczącej położenia domów municypalnych, zakrzyczano go, jako oparty na niesprawiedliwem użyciu pieniędzy publicznych; rada zaproponowała publiczności — urządzenie loteryi. Raz tylko, w r. 1886, pod grozą nadchodzących wyborów miejskich, rada roztrząsała projekt niejakiego p. Gruneckego, oparty na stopniowem przez 75 lat wykupywaniu przez miasto zbudowanych domów. Projekt, zresztą niepraktyczny, został odrzucony. (D. n.).

Kazimierz Krauz.

KARTKI.

Surogaty wiedzy. Wraz z rozrostem nauki i gorączkowym, nieustannym ruchem na polu metod i środków poznania, szybką przemianą systematów i teoryj mnoga rzesza inteligencyi i pseudointeligencyi nie może postępować na równi z myśleniem naukowem. Żywi się ona tylko skrawkami i ułamkami, dochodzą do niej tylko mętne odgłosy ze świetlanej i promiennej sfery wiedzy czystej, ideowy głód musi ona nasycać rozmaitymi falsyfikatami i surogatami. Krynica mądrości, z której gasi swe pragnienia, składa się z poglądów przebrzmiewających, śmiałych i nieuwierzytelnionych dowodnie hypotez, które ona przyjmuje w dobrej wierze za pewnik. Wszystko to powoduje obałamucenie umysłowe, rodzi flirt naukowy, wykrzywia pojęcie o nauce, celach jej i zadaniach. Inteligencya burżuazyjna wymaga i przyzwyczajona jest, iżby dbano o jej pomyślność i błogostan. Sam proces powstawania i tworzenia się wiedzy jest dla niej obojętny. Pragnie znać tylko końcowe wyniki, rezultaty ogólnikowe i formułkowe. Piśmiennictwo współczesne, będące pod niewolną i czujną służebnicą burżuazyi, wyłoniło odpowiednie organizacye. Dziennikarstwo i encyklopedye podjęły się funkcyi pospiesznego i ogólnikowego informowania czytelników o postępach i zdobyczach wiedzy. Engels trafnie nazwał kiedyś encyklopedye „die grosse Eselsbrücke des deutschen Bildungsphilisters.“ Encyklopedye szczególnie za granicą rozwielmożniły się. Niemiecki filister pyszałkowato mniema, iż otoczony zbrojownią 16-tomowego *Meyers Konversations Lexiconu*, może dumnie spoglądać na świat, iż ma do swego rozporządzenia niewyczerpaną i źródłową studnię nauki. „Cała wiedza ludzka“ staje się jego powolnym i kornym giermkiem. Podczas panowania jednak produkcyi towarowej wszystko dąży do poziomu najniższych środków wytwarzania, godłem naczelnem jest — tanio ale źle — *billig und schlecht.* Żadna gałęź pracy społeczno-narodowej nie może się wyłamać z pod tej musowej konieczności. Tandeta wychyla niepowabne swe oblicze z po za wszelkiej osłony.

Szablony licznie się rozgościły na każdej placówce. W najlepszym razie encyklopedya taka może być źródłem powiadomienia o pojedyńczej rzeczy, która wymknęła się ze świadomości. Jest ona jak niemcy zowią „Nachschlagebuch.“ Współpracownicy dzieła takiego dążyć powinni i wziąć za cel wyłączny — możliwą objektywność. Kto samodzielnie myśli, ten nie dopytuje encyklopedyi o mniemania i poglądy, lecz o wiarogodne fakty, daty i formuły.

Pewien niemiecki publicysta dokonał analizy ostatniego wydania encyklopedyi Meyera i udowodnił, że to główne źródło oświaty filisterskiej zatrute jest mjazmatami fałszu i tendencyjności. Uwagi jego nie będą pozbawione znaczenia dla polskich czytelników, bardzo często zmuszonych uciekać się do wspomnianego wydawnictwa. Kierownicy jego przypuszczają zapewne, że burżuazya niemiecka niezdolna jest do samodzielnego sądzenia i wnioskowania, w przeciwnym bowiem razie nie ujawniliby takiego śmiałego narodowo-liberalizmu. Liczne oddziały mają taką postać, jakby żywcem zostały wycięte z *Hamburger Nachrichten*, *Magdeburgischen Zeitung*, *Leipziger Tageblattu* itd. Narodowo-liberalna zarozumiałość i fanatyzm wyprawiają prawdziwą orgię w tem wydawnictwie. Wszystko, co nie jest tej barwy lub łączy się z nią dalekiem tylko pokrewieństwem, przedstawione jest lekceważąco i fałszywie ocenione ze śmiesznego i przedawnionego stanowiska walki kulturalnej. Jakieś ciemne „wielkości“ narodowo-liberalne zostały honorowo uczczone, postacie rzetelnie historycznego znaczenia — pominięte lub zbagatelizowane. Każdy, kto był działaczem podczas haniebnej dla Niemiec epoki narodowo-liberalnej, został wyposażony świadectwem „echt nationaler Gesinnung.“ Cały splot legend, utkany przez przeciwników bezpośrednich i przyjęty niewolniczo w spadku przez zwyrodniałe mieszczaństwo, ustawicznie odradza się w każdej biografii tych osób. Poważna

i źródłowa jednak krytyka historyczna udowodniła gołosłowność i bezpodstawność wielu takich zarzutów i pogłosek. Wskażemy choćby tylko obszerną pracę dr. Robianto o Dantonie. Natomiast mężowie publiczni obecnej rzeczpospolitej francuskiej zostali bardzo łaskawie uwzględnieni. Wszystkie zaś objawy wstrętne i niesympatyczne znalazły w autorach żarliwych obrońców i czcicieli. Nie możemy dłużej wespół z autorem niemieckim grzebać się w tem rojowisku przewrotnej tendencyjności. Pragnęlibyśmy tylko wywołać baczność względem rozpowszechnionej u nas encyklopedyi Meyera i jeszcze raz zwrócić uwagę na właściwy zakres i zadanie odpowiednich wydawnictw. Szerzą one kult wiedzy zdawkowej i ogólnikowej, są wrogami rzetelnej myśli naukowej. *Hel.*

Poglądy zawodowe. Odsiadujący kozę w Etampes, wynalazca melinitu, Turpin, skorzystał z wolnego czasu i ułożył nową teoryę kosmograficzną, którą ma obalić wszelkie dotychczas istniejące, jako niezgodne ze wstecznym ruchem Urana i Neptuna. Według niego—w początkach czasów materya, niby zimne, bezwładne, spoiste, pogrążone w ciemnościach jądro spoczywała w przestrzeni. Nagle pod działaniem przyczyny nieokreślonej, w jądrze tem następuje... wybuch; rozpada się więc na miliardy cząstek, rozpryśniętych w próżnię, które pędzą jedne za drugiemi, łączą się, odbijają, ścierają na proch, wytwarzając ciepło i świecą jak iskry olbrzymiego fajerwerku. W łonie tej rozżarzonej i rozpylonej materyi powstają skupienia, stanowiące ośrodki jąder, dokoła których, jak na gałce, toczonej po śniegu, gromadzą, nalepiają się pyły kosmiczne, wytwarzając ostatecznie mgławice, komety i słońca. Wzajemne oddziaływanie na siebie mas doprowadza je do równowagi. Początkowa chyżość ciał niebieskich zmniejsza się, treść ich zgęszcza, mgławice przybierają kształt sferoidalny, wirują dokoła osi, wydzielając na równikach pierścienienie materyi, z których w dalszym ciągu powstają planety. Ruch ciał niebieskich podtrzymywany jest przez „materyę promieniejącą.“ Promieniowana w przestrzeń we wszelkich kierunkach oddziaływa odpowiednio do powierzchni spotykanych planet i słońc, rodzajem molekularnego bombardowania nadając im pewną chyżość. Materya owa jest źródłem wszelkiej istniejącej energii, jak ciepło, światło, elektryczność itd. Ciało jednak bombardujące zużywa się zwolna na rzecz bombardowanego, którego masa wzrasta. Odpowiednio do tego potęguje się również i siła przyciągania, wytwarzana indukcyjnie w łonie planet pod ciśnieniem działającej na nie energii słonecznej. W następstwie zatem wszystkie ciała niebieskie pospadają kiedyś jedne na drugie — księżyc na ziemię, ta na słońce, Herkules na Wegę i tak dalej, aż w końcu wszelka materya kosmiczna spłynie się napowrót w jedno olbrzymie martwe jądro, w którem znowu powstanie wybuch, wytwarzając w dalszym ciągu ruch i życie. Wszystko to ogromnie przypomina „typy zawodowe“ z antropologii Krzywickiego, dla których, stosownie do prefesyi, świat cały przedstawia się w postaci dźwięków, cyfr, albo kolorów.

PAMIĘTNIK.

Plony.

Gospodarze nasi mogą już w przybliżonym rachunku ująć rezultat tegorocznych zbiorów. Według doniesień różnostronnych sprzęt siana i wogóle paszy wypadł miernie, a w niektórych okolicach — źle. Nie jest to wszakże jeszcze klęska, a sąsiedzi nasi w Niemczech i Austryi, którym susza wiosenna wyniszczyła trawy, znajdują się w daleko gorszem położeniu. Skutkiem słabej wydajności łąk i pól koniczynowych, a nadto skutkiem braku paszy w krajach nam przyległych, jej cena już dziś wzrosła i wzrastać będzie ciągle, kusząc rolników do niebacznej sprzedaży. Słusznie też pisma ostrzegają ich, ażeby się nie dali uwieść tej pokusie w nadziei, że potem karm dla inwentarza będzie tańsza, gdyż przypuszczenie takie jest mylnem.

Daleko trudniej przewidzieć, jak się ułożą ceny zbóż. Zbiór ich w całym kraju jest dobry lub bardzo dobry, plony zaś w krajach sąsiednich nie są jeszcze dostatecznie znane. Żniwa odbywają się w warunkach normalnych, a jeżeli stąd i zowąd nadchodzą skargi bądź na suszę, bądź na deszcze, są to zwykłe utyskiwania. Klimat nasz odznacza się nietylko ciągłą zmiennością, ale także rozmaitością. Pięć lub dziesięć mil odległości sprowadza nieraz zupełną zmianę: tu spadają ciągłe ulewy, tam ziemia daremnie łaknie kropli deszczu. Gdybyśmy któregokolwiek dnia zebrali telegraficzne wiadomości z całego kraju, przekonalibyśmy się, że w jednej jego dzielnicy żniwiarze omdlewali z gorąca, a w drugiej drżeli z dżdżystego chłodu. Bądź co bądź, rok bieżący będzie u nas należał pod tym względem do pomyślniejszych.

Udaremniona wygoda.

Cała prasa nasza wyraziła uznanie dla kolei Terespolskiej za jej pomysł biletów powrotnych z terminem dwudniowym. Nietylko bowiem korzystający z tej linii mieli przejazd o 50% tańszy w zakresie 48 godzin, ale inne drogi żelazne poszły za tym przykładem, tak że Warszawa po raz pierwszy korzystała z komunikacyi osobowej rzeczywiście niedrogiej. I oto — jak donoszą pisma — ta ulga ma być wkrótce cofnięta dzięki przekupniom. W Miłośnie bowiem, Nowomińsku i Mrozach powstały agentury, handlujące biletami powrotnymi. Ponieważ zarząd kolei uważa to za swoją szkodę, gdyż bardzo mało osób, jadących do Warszawy, nabywa bilety zwyczajne w kasach, zaopatrując się w powrotne od przekupniów, te ostatnie więc mają być ograniczone do jednego dnia lub całkiem zaniechane. Rozumie się znowu za koleją Terespolską pójdą inne i tym sposobem spekulanci pozbawią dziesiątki tysięcy ludzi taniej komunikacyi. Że też to fatalne robactwo wszędzie się znajdzie i wszystko podgryzie.

Przestroga.

Dwaj malarze monachijscy, pp. Wanke i Wawrzyniecki przesyłają za naszem pośrednictwem przestrogę do swoich towarzyszów, którym śni się tamtejszy raj artystyczny w bardzo różowych barwach. Na to marzenie spuszczają oni strumień zimnej wody pod postacią rachunku kosztów utrzymania i nauki w Monachium. Trzeba mieć miesięcznie od 170 do 200 marek, chcąc się uczyć, a od 290 do 340, chcąc samodzielnie pracować. Kto nie posiada tak silnego „nerwu rzeczy,“ będzie klepał biedę i zmarnuje talent. Jakkolwiek kwestya pieniężna jest niewątpliwie bardzo ważna, nie sądzimy, ażeby ona leżała wyłącznie na szali rojeń artystycznych. Autorowie zapomnieli objaśnić drugiego, może pierwszorzędnego punktu: mianowicie, czy Monachium jest słusznie celem dążeń dla ludzi, poświęcających się malarstwu i czy nie ma w tej wędrówce do „nowożytnych Aten“ sił prądu owczego? Bo jeżeli gdzieindziej można kształcić się równie dobrze i taniej — to przestroga ich jest bardzo rozumna i powinna być skuteczna. Ale jeżeli nie, jeżeli żadne inne szkoły nie zastąpią młodemu malarzowi monachijskich? Wtedy daremnie byśmy straszyli kogoś niedostatkiem i radzili mu zapewnić sobie wprzódy 200 marek miesięcznie. Pojedzie on tam z połową lub trzecią częścią tej sumy, albo nawet bez niej. W każdym artyście, w każdym zresztą człowieku, zapatrzonym w jakąś ideę, tkwi odrobina Kolumba, która mu każe siąść na kruchy statek, wypłynąć na wielkie morze i dążyć do wyśnionej krainy, bez pamięci na trudy i możliwość rozbicia się lub śmierci głodowej. Wskażmy mu krótszą i bezpieczniejszą drogę, z pewnością na nią się zwróci. Ale nie starajmy się powstrzymać go wróżbą niepowodzenia, gdyż odeprze nam: na tej loteryi śmiali także wygrywali; dlaczego ja mam koniecznie przegrać; dlaczego nie mam rzucić w ryzyko mojej biedy? Może ludzie byliby o połowę szczęścia ubożsi, gdyby je tylko zdobywali chłodnym i ścisłym rachunkiem i może więcej zawdzięczają grze losowej, niż oględnemu rozsądkowi.

Zadawniony nałóg.

P. W. Magnus zrobiłby dobrze, gdyby był swej broszurki o „Wilanowskiej kolei konnej“ nie napisał, a jeżeli już nie mógł tego pragnienia w sobie pokonać, powinien był przynajmniej dać ją komuś do oglądy. Siedem bowiem jej stronic spada siedmioma plagami stylistycznemi na czytelnika, począwszy od dziwnego przestankowania a skończywszy na jeszcze dziwniejszej składni i stosowaniu wielkich liter. Ale mniejsza o to, główniejsza rzecz tkwi w pytaniu, czy ogół potrzebuje być powiadamiany za pomocą literatury, jakie pretensye pieniężne zachodzą między pp. Hussem i Magnusem? Cobyśmy powiedzieli, gdyby ktoś straciwszy bezpieczeństwo dla swej sumy hypotecznej po spaleniu się domu, napisał książkę przeciw swemu wierzycielowi? Koleją jeździ publiczność — zauważą nam; ale w domu mieszka także publiczność. Właściciele przedsiębiorstw użyteczności publicznej pozostają u nas w dziwnem złudzeniu, że ich prywatne zatargi są sprawą społeczną, którą wytaczają przed sąd ogółu — mniemanie, któreby nie wpadło do głowy żadnemu holendrowi lub belgowi, gdyby się pokłócili przy obliczaniu dywidendy za akcye kolei Wiedeńskiej. Zresztą stańmy na tym sztucznym gruncie i zapytajmy, czego p. Magnus od nas — czytelników jego broszurki — chce? Ażebyśmy potępili p. Hussa? Nie możemy tego zrobić, nie wysłuchawszy jego obrony. Ażebyśmy uwierzyli w złą gospodarkę zarządu kolei Wilanowskiej? I tego nie możemy uczynić, jeżeli ona dała — według p. Hussa — 10%, a według p. Magnusa — 6% dywidendy. Ażebyśmy głosowali za utrzymaniem nadal spółki komandytowej, zamiast udziałowej dla taniości opłat skarbowych? Kiedy naprzód sam p. Magnus — jak wyznaje — na tę zamianę się zgodził, a powtóre niższy stopień opłaty skarbowej nie rozstrzyga o wartości spółki. Czy mamy przeszkodzić p. Hussowi, ażeby nie sprzedawał udziałów za kwitami tymczasowymi? Ależ to nas nie obchodzi. Czy wreszcie mamy ubolewać nad p. Magnusem, który pozostaje dotychczas odpowiedzialnym materyalnie za szkody przedsiębiorstwa? I na to zdobyć się nie możemy, gdyż ono daje tylko zyski. Co więc wypada począć nam, czytelnikom broszury p. Magnusa? Chyba tylko zwrócić uwagę kierowników kolei Wilanowskiej, że warto by pozbyć się zadawnionego nałogu waśni w liczniejszych spółkach i wyciągania procesów osobistych na widownię publiczną. Od tego są sądy polubowne i państwowe, które stanowią jedynie właściwą dla takich sporów instytucyę.

Zbrodnia.

Znowu dzika zbrodnia pokalała krwią ręce a może zgryzotą sumienie jakichś rabusiów. Pod Noworadomskiem w majątku Kodrąb znajduje się kopalnia wapna, w której jako pisarz pracował między innymi Wolf Siegelman. Tego rodzaju pisarze bywają zarazem kasyerami przedsiębiorstwa. Otóż złoczyńcy w nadziei zrabowania znaczniejszej sumy pieniędzy wtargnęli nocą do mieszkania Siegelmana, oskardami porozbijali czaszki śpiących

czterech osób, wypili wódkę i zjedli pokarmy przygotowane na szabas, a nie znalazłszy pieniędzy, które Siegelman odesłał, zabrali kosztowności i uciekli tak cicho, że liczni lokatorzy tegoż domu nie usłyszeli żadnego łoskotu. Po doraźnem śledztwie zaaresztowano dwu włościan i jednego złodzieja pobytowego. Zwykle podobne zbrodnie nie ukrywają się, więc zapewne sprawcy tej zostaną wytropieni. Dla psychologa jest to wypadek ciekawy, choć nie wyjątkowy, do jakiego stopnia wznieść się może bezwrażliwość natur zbrodniczych. Zdawałoby się, że zabicie kilku osób wymaga nadzwyczajnego przytępienia czułości nerwów, cóż dopiero, gdy mordercy, po spełnieniu swego okropnego czynu, zasiadają do uczty i wobec swych ofiar skrwawionemi rękami wyciągają jadło i spożywają je z apetytem. Jest to coś tak potwornego, że wyobraźnia cofa się przed uprzytomnieniem sobie tej zwierzęcej sceny.

Żebractwo.

Dziś już każdy wie o tem, że żebractwo jest raczej dość zyskowną spekulacyą, niż smutną koniecznością. Niedawno znany badacz tej sprawy we Francyi, L. Paulian, wydał książkę (*Paris qui mendie*), w której stwierdza, że z dobroczynności publicznej w Paryżu korzystają ludzie, posiadający 50—80 tysięcy fr. majątku, że „ubogie" matki otrzymują po 25 litrów mleka dziennie na pokarm dla dzieci, inni znowu wyzyskiwacze po kilka prześcieradeł co dni parę dla obwinięcia umarłego ojca itd. Wypadki znajdowania po śmierci żebraków u nas znacznych sum w papierach procentowych nie są bynajmniej zmyśleniem, a w zeszłym tygodniu jedno z pism donosiło, że na odpust pewnej parafii prowincyonalnej dziadowie warszawscy wyjechali omnibusem pod wodzą swego „dziekana." Wobec tych faktów potrzeba uregulowania żebraniny i zapobieżenia przebranemu w jej formy wyzyskowi jest sprawą bardzo ważną i naglącą. Według *Kuryera warszawskiego* w sferach rządowych powstała dojrzewająca już myśl założenia około naszego miasta przy stacyach kolei kilku domów zarobkowych. „W każdej podobnej instytucyi — objaśnia to pismo — urządzone będą odpowiednie warsztaty, przeważnie tkackie, dla wyrobu ordynarniejszych gatunków sukna oraz płótna i szwalnie dla przygotowania bielizny. Po zatwierdzeniu przez ministeryum spraw wewnętrznych typu domu zarobkowego, oraz zasadniczego regulaminu, specyalne komitety, do składu których będą zaproszeni także i obywatele, zajmą się samą organizacyą instytucyi. Oprócz domów zarobkowych będą zakładane na koszt gmin i miast przytułki, czyli schronienia dla starców i kalek, niemogących żadną miarą pracować i nieposiadających rodziny, któraby ich wspierała. Instytucye te dwojakiego rodzaju mają skutecznie i radykalnie wpłynąć na ukrócenie żebraniny, do której wówczas będą zastosowane obostrzone przepisy prawa."

Coraz lepiej.

Jak wiadomo, „mediumiści" dla określenia tych tajemniczych istot, czy sił, które przy doświadczeniach podnoszą stoły, przewracają krzesła, głaszczą obecnych po twarzy itp., nie chcą używać wyrazu „duch," gdyż ta nazwa zapędzałaby ich do jednej gromady ze spirytystami, wobec których czują się wyżsi. Więc i p. Ochorowicz w opowiadaniu o cudach, sprawionych przez Eusapię, posługuje się mianem „ducha" ironicznie, ale nie tai śmiesznych psot tego czegoś czy kogoś. „Duch" — powiada p. O. — który jedną z pań *specyalnie* prześladował swymi *klapsami* i *skubaniami*, na zakończenie *pocałował* ją głośno w rękę... Ręka niewidzialna raz tylko pozwoliła mi się dotknąć z dwu stron (mianowicie miałem między swymi palcami jej wielki palec, większy i z grubszą kością, niż palec Eusapii) i to na prośbę, była bowiem tak zręczną i przytomną, że na sam zamiar schwytania odpowiadała klapsem i znikaniem." Co to za sprytni figlarze te duchy... a raczej te materyalizacye ducha Eusapii! Skubią i całują damy, a mężczyznom, chcącym ich pochwycić, dają klapsy. I ci właśnie figlarze powołani zostali w XIX w. do „rozszerzenia granic naszej wiedzy." Z operetek poznaliśmy „wesołe więzienie," teraz poznajemy wesołą naukę, trudno zgadnąć, ile uciechy ona nam jeszcze obiecuje!

Przegląd chirurgiczny.

Podczas gdy zaledwie jedno pismo prawne może się u nas utrzymać z wielkim wysiłkiem, lekarze założyli już szósty organ — *Przegląd chirurgiczny*, pod redakcyą dr. Krajewskiego. Jak tytuł wskazuje, ma on się zajmować wyłącznie chirurgią a wychodzić będzie mniej więcej co kwartał. Pierwszy zeszyt, poświęcony dr. Matlakowskiemu, zawiera artykuły: Jawdyńskiego, Karczewskiego, Ciechomskiego, Jasińskiego, Korzeniowskiego, Kamockiego i Krajewskiego, a nadto ich streszczenie francuskie i „revue des journaux." Dla zwyczajnego czytelnika ciekawym jest artykuł dr. Dunina o stosunku chirurgii do medycyny wewnętrznej, w którym autor oddając należne pochwały pierwszej, twierdzi, że przyszłość należy do drugiej. *Medycyna* nazwała te wywody zbiorem frazesów niczego nieobjaśniających, a według nas frazesy te są wyrazem bardzo głębokiego spojrzenia w rzecz i stanowią niewątpliwą wróżbę dla przyszłości. Wyciąć jakiś chory organ szczęśliwie, uwolnić pacyenta od ciężkich dolegliwości, gospodarować w jego wnętrzu jak w szufladzie lub kuferku, przykrawać człowieka według potrzeb jego zdrowia bez niebezpieczeństwa — jest to umiejętność, sztuka i tryumf. Ale *ideałem* leczenia pozostanie terapia, która usuwa przyczyny choroby, a nie jej skutki.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROZWÓJ ULEPSZEŃ KOMUNIKACYJNYCH.

Od lat kilku daje się spostrzegać ciągły ruch około udoskonalenia komunikacyi kolejowej w całem państwie. Przedewszystkiem położono nacisk na ułatwienie przewozu towarów, czego dowodem jest ostatnia reforma taryf.

Samo zniżenie opłaty dla pewnej kategoryi produktów, skierowywanych na wielkie rynki zbytu, nie jest jeszcze wystarczające. Pozostaje wielki brak linij pomocniczych na szerokich obszarach, brak odpowiednich pomieszczeń stacyjnych, a nawet niedostateczna liczba wagonów towarowych, co się szczególnie odczuwać daje w okresach wzmożenia przewozu (np. zboża lub węgla kamiennego). W końcu istnieją braki techniczne przy przeładunkach, niewygodne połączenia w prostej komunikacyi i w pewnych razach mały pośpiech, szkodliwie działający na niektóre gatunki towarów, a wogóle — na interesy handlowe. Brak linij wązkotorowych, jak wiadomo, będzie z czasem usunięty, dzięki powstaniu towarzystwa akcyjnego, które zajmie się ich budową i eksploatacyą. Inne niedogodności ministeryum komunikacyi chce złagodzić i w tym celu stworzyło oddzielne komisye, które się zajmą szczegółowem zbadaniem warunków i znaczenia kolei dla danej miejscowości. Szczegóły będą grupowane nietylko w zakresie potrzeb ekonomicznych, ale także technicznych i administracyjnych. Komisye, nie poprzestając na osobistem badaniu stanu rzeczy, będą zasięgać wiadomości i zdania od mieszkańców, którzy mogą określić potrzebę okolicy, zwrócić uwagę na to, co jest łatwo do przeoczenia delegatom w przelocie. Mieszkańcy tej lub innej prowincyi będą mogli za pośrednictwem członków komisyi wskazać swe potrzeby. Da to możność właściwego regulowania taryf, budowania elewatorów tam, gdzie one istotnie są potrzebne, podniesienia pewnych gałęzi przemysłu itd.

Dalsze rozporządzenie zaleca, ażeby w przyszłości nowe koleje budowano w ten sposób, żeby nie omijać większych i mniejszych zbiorowisk ludzkich. Dotychczas trzymano się tej zasady, ażeby linia była jak najkrótsza, a zatem możliwie najprostsza. Zmniejszało to znacznie wydatki na budowę, ale kolej żelazna skutkiem tego nie zawsze i nie całkowicie odpowiadała swemu celowi. Linie ominęły nawet duże miasta handlowe i przemysłowe z wielką dla nich krzywdą. Oto mamy przykład: Gałęź Poleska, Brzosko Brańska, idąc od Pińska wzdłuż Prypeci, ominęła Mozyr, a o 12 wiorst od niego przy lichem miasteczku Kalinkowiczach urządziła stacyę, którą jakby przez ironię nazwano „Mozyr-Kalinkowicze". Tymczasem właściwy Mozyr, spore miasto powiatowe, leży nad rzeką spławną (Prypecią) po przeciwległej stronie linii kolejowej; przybywa tam niezliczone mnóstwo statków ładownych, idących z Kremieńczuga, Kijowa do Pińska i odwrotnie, krąży kilkadziesiąt parowców zawsze przepełnionych podróżnymi. Jeżeli towar idzie z Dniepru i Prypeci na kolej Poleską i odwrotnie, musi przebyć transport kołowy dziesięć wiorst, co znacznie zwiększa koszt i naraża interesowanych na stratę czasu. Takich przykładów można bołoby znaleźć więcej.

Obok popierania rozwoju przemysłu i handlu, ujawnia się w ostatnich czasach jeszcze inna dążność, wygody dla podróżnych. Przeszło od roku waży się sprawa zniżenia taryfy pasażerskiej. Obecnie zas uznano konieczność polepszenia warunków jazdy pasażerów klasy III, dotąd lekceważonej i zaniedbanej. Niektóre koleje jak Południowo-Zachodnie, mają już od kilku lat piękne wagony tej klasy, niczem nie ustępujące kl. drugiej, z wyjątkiem tego, że nie posiadają miękkich materaców i doboru... czystej publiczności. Natomiast jest dużo i światła i przestrzeni, ławki twarde, drewniane, ale obszerne, szerokie, o poręczach wysokich, tak iżby głowy z drugiej ławki nie stykały się z sobą; półki na rzeczy również bardzo wygodne, wreszcie osobne przedziały dla kobiet. Obecnie poruszono projekt urządzenia wagonów sypialnych dla pasażerów III kl. Dotąd zarządom kolejowym nie przyszło na myśl, że pasażerowie tej kategoryi również potrzebują snu, a może nawet więcej niż ci, których miękkie materace i poręcze tudzież więcej przestrzeni ochrania od zmęczenia i nawet w zwyczajnym wagonie pozwala im spać wybornie. Zresztą sypialnia dla podróżnych płacących najtaniej, ale najliczniejszych, może przynieść jeżeli nie większy, to przynajmniej taki sam dochód, jaki dają podobne udogodnienia dla I i II klasy.

Jeszcze w roku zeszłym władza ministeryalna zaleciła zarządom kolejowym ważny warunek, zwiększenia na wszystkich drogach szybkości jazdy. Obecny letni rozkład dał jeszcze lepsze rezultaty. Nietylko podniesiono prędkość biegu pociągów, ale na niektórych kolejach powiększono ich liczbę i ograniczono czas przystanków na stacyach. Uważnie przeglądając rozkład jazdy na wszystkich kolejach w całem państwie i zestawiając z rozkładem przeszłorocznym, spostrzegłem nadto

doskonałe połączenia na stacyach węzłowych. Gdzie dawniej pasażerowie przesiadający się na inną linię, musieli czekać po godzin pięć, sześć i więcej, dziś czekają najwyżej godzinę i minut dwadzieścia. Dobrodziejstwa zaś owych udogodnień osobiście w tych dniach doznałem. Przestrzeń 600 wiorst od Warszawy do Mozyra, na której przebycie w roku zeszłym straciłem 30 godzin, a nadto przy złym rozkładzie musiałem dwie noce spędzić w wagonie, obecnie przyjechałem w ciągu 19, czyli o 11 prędzej i jedną tylko noc pozostawałem w drodze. Dużo tu oszczędności w czasie dały znacznie skrócone postoje: w Brześciu o *trzy godziny*, w Łunieńcu o *dwie*. Pomyślmy, ile na takim pośpiechu zyskuje człowiek, któremu każda chwila jest drogą! Skrócenie czasu jazdy oprócz znaczenia kulturalnego wpłynie na znaczne ożywienie przemysłu i handlu, a pasażerowi da możność oszczędniejszego odbywania podróży, dzięki ograniczeniu wydatków na żywność, która, jak wiadomo, w bufetach kolejowych kosztuje dwa, a nawet cztery razy drożej, niż w normalnych warunkach bytu wiejskiego. Mieszkaniec wsi oszczędność taką jeszcze więcej poczuje.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Próby rolnicze. Sprawa stosowania nawozów w rolnictwie staje się u nas coraz bardziej żywotną. Grunta się wyczerpują, a nie zasilane — zmniejszają stopniowo swoją wydajność. Obecnie właściciele najlepszych nawet, stepowych, gdzie niedawno jeszcze nawóz był ciężarem i służył jedynie do tamowania grobli, zaczynają go skrzętnie wywozić na pola. Nawozy sztuczne bardzo mało są u nas rozpowszechnione, gdy tymczasem nie każde gospodarstwo może posiadać odpowiednią ilość naturalnego. Ażeby zachęcić do ich użycia, sekcya przemysłowo-rolnicza wybrała delegacyę, która się zajmie przeprowadzeniem szeregu prób z nawozami chemicznymi w całym kraju i w tym celu roześle odpowiednie wskazówki i nawozy, kontrolować będzie doświadczenia i ogłosi otrzymane wyniki. Jesienią odbędą się próby nawozowe pod oziminę. Poletko próbne ma się znajdować w polu i nie przenosić morgi 300 p. Uprawa jego będzie taka, jak całego pola. Dla ułatwienia nabycia nieznacznej ilości nawozów, delegacya zajmie się ich zakupem, co będzie miało tę dobrą stronę, że ujednostajni warunki prób. Doświadczenia mają być tak kierowane, aby ziemianie robili je w widokach własnej korzyści. Pola doświadczalne będą zwiedzane. Koszt próby wyniesie najwyżej 30 rs., z których 10 rs. należy nadesłać przy deklaracyi.

Ożywienie cementowe. Produkcya cementu w państwie ruskiem wzrasta. W Królestwie i Cesarstwie powstają coraz nowe fabryki. W r. z. wynosiła 1,100,000 beczek po 11 pudów wagi, zapotrzebowanie zaś w r. b. wynosi 1,200,000 beczek. W przewidywaniu zwiększania się i nadal zapotrzebowania i dla współzawodnictwa z produktami zagranicznymi wiele fabryk postanowiło znacznie powiększyć w r. p. swoją wytwórczość, niektóre zaś pragną ją podwoić. W r. 1894 spodziewany jest wzrost produkcyi ponad 1½ miliona beczek, wobec czego dowóz cementów zagranicznych musi znacznie zmaleć. Główny okres walki współzawodniczej z zagranicą już minął i zawładnięcie zupełne miejscowych rynków przez cement krajowy jest jedynie kwestyą czasu. Od fuszerki ratuje przemysł cementowy okoliczność, że odbiorcami są tu przeważnie instytucye rządowe lub znajdujące się pod jego kontrolą, jak zarządy robót fortecznych i portowych, dróg wodnych i lądowych, zarządy miejskie, kolei państwowych i prywatnych itd., które używać mogą do robót tylko produkty, czyniące zadość pewnym przepisanym warunkom. Warunki te dla cementu, obowiązujące u nas, są ściślejsze od istniejących dla fabryk niemieckich, co utrudnia im współzawodnictwo. Ożywienie w przemyśle cementowym jest głównie wynikiem przeprowadzania wielu nowych kolei żelaznych, co, zwiększając zapotrzebowanie na rozmaite materyały i ułatwiając komunikacyę, odbić się musiało korzystnie na interesach produkcyi wogóle i zwiększyć jej wydajność.

Wytwórczość zagłębi węglowych. Według sprawozdania inż. Choroszewskiego w *Przeglądzie technicznym*, w r. 1892 w Królestwie czynnych było 21 zagłębi, z których 2 zajmowały się wydobywaniem węgla brunatnego. Pierwsze miejsce zajmują kopalnie Towarzystwa górniczego sosnowieckiego „Jerzy“ i „Ignacy,“ które przy 29 maszynach i 2,658 pracownikach wytworzyły 58,351,819 pudów węgla, czyli o 7,135,856 pudów więcej, niż w roku poprzednim. Najbardziej zwiększyło wydajność zagłębie „Saturn“ ks. Hohenlohe, o 7,582,739 pudów, najsilniejszy zaś upadek wydajności zaznaczył się w kopalni „Wiktor,“ która wyprodukowała o 5,864,004 pudów mniej, niż w roku poprzednim. Ogółem wydobyto 175,993,231 pudów, czyli produkcya wzrosła o 17,162,401 pudów, przy czem pracowało 11,302 ludzi, tj. o 147 mniej, niż w roku poprzednim. Wydajność pracy rocznej pojedynczego robotnika wzrosła o 1,698 pudów i dosięgła cyfry 15,571 pudów. Widzimy więc tutaj fakt znamienny dla współczesnej produkcyi — wzrostu jej przy jednoczesnem zmniejszeniu się ilości robotników. Zagłębia musiały wprowadzić pewne ulepszenia i doskonalszą organizacyę sił roboczych (nie przypuszczamy praktykowanych często w fabrykach nadużyć). Jeżeli jednak zjawisko to jest powszechnem, to staje się ciekawą rzeczą, co zrobią ze sobą ci 147 wyrzuceni z produkcyi?

— Widoki zbioru chmielu w gub. wołyńskiej zapowiadają się źle. Dosięgnął on zaledwie do połowy tyczek, a oprócz tego niszczy go robactwo. Z powodu, że za granicą zbiór chmielu zapowiada się również niepomyślnie, przystąpiono już do tranzakcyi na rok przyszły po 10—13 rs. za pud. Kilka lat temu płacono o tej porze 16—20 rs., przedstawiciele jednak firm zagranicznych zaczęli następnie przyjeżdżać do Dubna tylko po gotowy produkt. Okoliczność ta w połączeniu z odczuwanym brakiem gotowizny wpłynęła na rozwój czynności lichwiarskich na rynku chmielu. Zdarzały się wypadki, że 250 rs. zaliczki wzrastało w krótkim czasie do 900. Chmiel, który do wiosny pozostawał jeszcze w ręku wielu producentów i spekulantów, wyprzedano już zupełnie.

— W przemyśle cegielnianym w okolicach Warszawy panuje ożywienie. Puszczono w ruch wszystkie cegielnie, zaniedbywane przez dłuższy czas. Sprzedające niegdyś po 6 — 8 rs. za tysiąc — pobierają obecnie 14—16 rs. i pomimo to nie mogą podołać zamówieniom. Zapasy, zgromadzone w zimie, wyczerpano zupełnie. Wśród ożywienia szerzy się fuszerka. Pośpiesznie wykończone wyroby z nieodpowiednio przygotowanej gliny są tak liche, że wielu odłożyło budowę nowych domów na czas późniejszy. Budową domów zajmują się przeważnie spekulanci.

— Z Francyi nadeszły zlecenia zakupów słana. Tranzakcye nie doszły do skutku z powodu braku w Warszawie przyrządów do prasowania.

— Kilku kuśnierzów lipskich zawiązało spółkę dla otwarcia w Warszawie filii garbarni i farbiarni futer.

— Produkcya platyny w Państwie ruskiem wynosi 279 pudów (8% więcej, niż w roku poprzednim), złota zaś 2,601 pudów (czyli wzrosła o 219 pudów). Od lat 10-u produkcya złota zwiększyła się o 16%.

— W Odesie zawiązuje się towarzystwo dla handlu z Indyami i Chinami. Kapitał 2,000,000 rs. w 400 akcyach. (*Birż. wied.*).

— Przy ministeryum skarbu powstała komisya dla rozpatrzenia sprawy stałego wywozu na rynki zagraniczne tytoniu i wyrobów z niego.

— W Kaliszu powstają 2 fabryki lalek dziecinnych.

— W Wierzbnie powiatu węgrowskiego założono plantacyę morwy, liczącą już kilkanaście tysięcy drzewek dla hodowli jedwabników.

— Przy rogatkach wolskich w Warszawie powstaje nowy targ. Miejsca na nim oddane będą w dzierżawę przez licytacyę.

— Pod Warszawą założoną będzie fabryka przyborów i aparatów elektrycznych.

— W gub. kurskiej pow. nowosokolskim odkryto pokłady węgla kamiennego. Na ślad naprowadziły wypłukane przez wodę deszczową w wąwozie bryły.

— W Łodzi rozpoczęto budowę gmachu dla pomieszczenia fabryki wstążek, sznurów jedwabnych i wyrobu, znanego pod nazwą „mohair,“ w której ma działać 500 warsztatów mechanicznych. Budowa fabryki wełny czesankowej ma być wkrótce rozpoczęta.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Departament dróg szosowych uznał za potrzebne obsadzanie ich drzewami, do czego przystąpi jesienią r. b. Dozór nad robotami polecony będzie agronomom szosowym, których posady mają istnieć we wszystkich okręgach. Włościanie i właściciele majątków w powiecie rawskim krzątają się już około zadrzewienia swoich dróg. Obsadzeniu drzewkami owocowemi stanął na przeszkodzie brak odpowiednich szkółek, ograniczono się więc do lipy, topoli i wierzby.

— W Helsingforsie powstaje towarzystwo dla rozpowszechnienia w Finlandyi języka ruskiego. (*Now. Wremia*).

— Jubilerzy i zegarmistrze lubelscy zobowiązali się dobrowolnie do świętowania niedzieli (*Gaz. lub.*).

— Osadnikom wzdłuż linii kolei Syberyjskiej postanowiono wyznaczać po 15 desiatyn gruntu.

— Jesienią r. b. odbędzie się ogólna rewizya kotłów parowych.

— Ogłoszono ukaz Najwyższy o wywłaszczeniu gruntów, potrzebnych pod budowę drugiego toru odnogi Brzesko-Chełmskiej dr. ż. Terespolskiej.

— Zatwierdzono tantyemę dla urzędników warszawskiego oddziału banku państwa, i wypłata jej nastąpi jesienią r. b.

— Zobowiązano właścicieli drukarń i litografii w Warszawie, by przy zamówieniach biletów wejścia na koncerty, zabawy itd., bez względu czy są płatne lub nie, żądali okazania pozwolenia oberpolicmajstra.

— W Krakowie runęła jeszcze nie ukończona trzypiętrowa kamienica. Pod gruzami zginęło 2-ch robotników, a cztery osoby ranne.

— Sąd okręgowy w Rydze skazał dwóch studentów uniwersytetu jurjewskiego na trzydniowy i siedmiodniowy areszt za pojedynek i poranienie się. Sekundantów uwolniono od kary.

— Specyalna komisya senatu belgijskiego przyjęła większością głosów niezwykle surową ustawę przeciw pojedynkom. Za zabicie grozi ona śmiercią zabójcy, świadkom zaś i lekarzom — więzieniem do 12 lat.

— 21-go lipca wyruszyła z Norwegii (Warde) wyprawa do bieguna północnego.

— Ludność Łodzi szybko wzrasta, głównie dzięki napływowi z zewnątrz. W r. b., pomimo ożywienia w budownictwie, cena dzierżawna lokalów, zwłaszcza przeznaczonych na sklepy, dosięgła niebywałej miary. W domach jeszcze niewykończonych, o ile położone są w środku miasta, wszystkie mieszkania już wynajęto. Kontrakty najmu dokonywają się często na podstawie planów. Wielu wstrzymuje przyjazd z powodu jedynie braku mieszkań. Dopływ ludności przybywa głównie z gub. nadbałtyckich i prowincyj zachodnich. W budowie znajduje się kilkaset kamienic.

— Zarząd komunikacyi podniósł projekt, aby wszystkie wały ochronne nad brzegami rzek w jaknajkrótszym czasie zadrzewić; sprawdzono bowiem, że roślinność zabezpiecza od zbyt silnych prądów wody i lodów. Zadrzewianie odbywać się ma kosztem gmin.

Sprawy kolejowe. Powstanie oddzielny zarząd kolei skarbowych w Królestwie, który obejmie: Terespolską, Nadnarwiańską, Siedlecko-Małkińską i Brzesko-Chełmską. Utracą one znaczenie samdzielne, zachowując tylko nazwy dla oznaczenia dystansów.

— Z powodu częstych nieporozumień, określenie wzrostu małoletnich pasażerów odbywać się będzie przy sprzedaży biletów.

— Warsztaty kolei Terespolskiej na Pradze będą znacznie powiększone.

— Na koszty budowy drugiego toru na kolei Brzesko-Chełmskiej wyznaczono 2,200,000 rs.

— Projekt połączenia linią kolejową Kijowa z Petersburgiem został uznany przez ministeryum komuni-

kacyi i skarbu i złożony w radzie państwa. Nowa linia skróci drogę blisko o 500 wiorst i nazywać się będzie Aleksandro-Maryjską. Przedłużoną ma być aż do Odesy.

— Na wiosnę r. p. mają być budowane w Białymstoku cztery linie kolei konnej.

— Otwarcie linii kolejowej z Moskwy do Kazania nastąpi jesienią r. b.

— Na ulepszenia na kolejach w celach strategicznych i handlowych wyasygnowano 3 miliony rs. na rachunek wydatków nadzwyczajnych.

Komunikacye. Tomaszów Rawski otrzyma komunikacyę telefoniczną z Łodzią.

— Pod Nowo-Aleksandryą zbudowany będzie most łyżwowy.

Szkoły. W ubiegłym roku szkolnym do wszystkich zakładów naukowych w Warszawie uczęszczało 34,243 uczącej się młodzieży (w tej liczbie 9,135 dziewcząt).

— Do szkoły artyleryjskiej przyjmowani będą w r. b. tylko ci, którzy ukończyli szkołę kadetów.

— W szkole inżynierskiej Mikołajewskiej pozostawiono tylko ograniczoną ilość miejsc dla wychowańców średnich zakładów naukowych. Przyjęci muszą wstąpić na własny koszt. (*Grażdanin*).

— Przy gimnazyum III em w Warszawie wzniesiony będzie dom na pomieszczenie internatu dla uczniów z prowincyi, który tymczasowo mieścić się ma w gimnazyum I-em.

— W nadchodzącym roku szkolnym we wszystkich średnich zakładach naukowych będzie obowiązkową nauka śpiewu.

Zdrowie publiczne. Polecono zarządowi Warszawy wyznaczyć, jak i w r. z., z sum miejskich 50,000 rs. na środki przeciwcholeryczne.

— W Kole powstaje stacya mikroskopijno-bakteryologiczna.

— Powstaną stacye badań mikroskopowych przy rzeźniach w Królestwie, zabijających więcej niż 1000 sztuk bydła rocznie. Badania będą obowiązujące. Koszta urządzenia i utrzymania poniosą magistraty.

Zmarli. Andrzej Smolikowski, b. sekretarz dyrekcyi teatrów warszawskich.

— Antoni Gislanzoni, poeta, librecista i pisarz ludowy włoski.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. K. w Łodzi. Przeciwko nazywaniu koni wyścigowych imionami sławnych ludzi występowaliśmy przed paru laty. Wtedy również zrobiły hodowcom (zwłaszcza p. Grabowskiemu) ostrą wymówkę inne pisma. Ale groch odbił się od ścian stajni i nadużycie pozostało. Korespondencyi Pańskiej nie zamieścimy, gdyż byłaby ona również bezskuteczną.

— Ukończyłem wydział matematyczny Uniw. warsz.; (mam lat 22). Pragnąc, dla odbycia specyalnych studyów, wyjechać na 1½—2 lat za granicę, a nie posiadając środków ku temu, upraszam o udzielenie mi pożyczki w ilości 400 rs. Bliższych wiadomości udzieli Redakcya *Prawdy*.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Іюля 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.